

NR. 2.
10 MARCA 1935 R.
CENA 40 GROSZY

ARCHITEKTURA NOWEGO ŚWIATA

FRAPUJĄCE ZDJĘCIE DRAPACZY CHMUR Z 5-tej ULICY W N. JORKU.

Fot. Dr. P. Wolff.

CZY ZGADNIECIE?

ILE BYŁO POCAŁUNKÓW?

Na proszonej herbatce było dwanaście pań. Bawiły się znakomicie i czas upływał im w miłym nastroju. Wreszcie nadeszła chwila rozstania. Jakto jest w powszechnym zwyczaju między bliskiemi przyjaciółkami wspomniane panie przy pożegnaniu zamieniły ze sobą pocałunki.

Ile zamieniono ogółem pocałunków, przyjmując, że każda z pań zamieniła tylko jeden pocałunek z każdą z obecnych?

★

MARYNARZE, MUCHA I PAJĄK.

Na statku, płynącym po morzu ściśle w kierunku od wschodu na zachód, dwaj marynarze otrzymali od kapitana surowy rozkaz, ażeby każdy z nich obserwował przeciwną stronę świata, a więc jeden wschód, a drugi zachód i nie odwracał głowy ani na chwilę. Obaj marynarze stanęli po przeciwnych stronach statku, a więc jeden na dziobie, a drugi na rufie statku. W pewnej chwili odzywa się stojący na rufie do przyjaciela stojącego na dziobie: — Uważajno, masz na nosie jadowitą muchę!

— Pilnuj swego nosa odpowiedział drugi, bo przecie łazi po nim pająk!

W jaki sposób każdy z tych marynarzy mógł widzieć nos swego przyjaciela, skoro patrzył w przeciwną stronę?

★

COŚ DLA WOJSKOWYCH.

Na czele kompanji stoi jako dowódca kapitan, mający do pomocy trzech poruczników, a ponadto w korpusie podoficerskim dwunastu podoficerów. Ilość podwładnych tej kompanji jest dziesięciokrotnie wyższa od ilości przełożonych.

Ile więc ludzi liczy kompanja razem z przełożonymi i podwładnymi?

Kto z Was Czytelnicy zgadnie, niech napisze rozwiązanie i prześle je pod adresem redakcji magazynu „AS".

Z następnego numeru dowiecie się, czy odpowiedź była trafną!

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY).

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY).
TELEFONY NR. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 2 **Niedziela 10 marca 1935** **Rok I**



Fot. E. Berthele — Monachjum.

Hahnenkammbahn — najbardziej malownicza trasa w słynnej miejscowości narciarskiej Kitzbühel w Austrji, gdzie ostatnio bawił książę Walji.

Hallo!

Hallo! — Czy mówi się dalej...







Ludność Saarbrücken witła entuzjastycznie przyłączenie Saary do Niemiec. Fot. Wide-World—Berlin.

Para królewska Sjamu, która ostatnio abdykowała. Presse-Photo — Berlin.

— Hallo — panno Halu — niech pani sobie wyobrazi... Ktoś podsłuchał naszą ostatnią rozmowę telefoniczną i wydrukował ją całą w „Asie".

— Ach to szalenie miłe pismo, czytałabym je od deski do grobowej deski...

— A propos deski — niech sobie pani wyobrazi, u nas w Krakowie spadł pierwszy śnieg... padały tak wielkie płatki śniegu, że można je było dojrzeć nawet gołem okiem...

— Takiem nudystycznem okiem... Ale niech mi pan powie, jak wyglądała ta chmura ze śniegiem — może to ta sama, która była w Zakopanem, a teraz odpłynęła...

— Pewnie chcą ją przenieść do Warszawy, gdzie ma powstać centrala śniegu. Bo tam mają nastąpić teraz wielkie zmiany. Ruch jest w polityce wewnętrznej.

— Hallo nie słyszę... w klinice wewnętrznej...

— Nie w polityce... P — jak Polakiewicz O — jak ostroga!

— Jak ostryga?

— Nie... jak ostroga...

— Acha... już wiem, ja tak bardzo lubię tych Ostrogotów.

— Jakich Ostrogotów?

— No tych naszych kawalerzystów, co noszą ostrogi.

— Otóż tego właśnie nie potrzeba w polityce wewnętrznej. Za dużo jest kawalerji, a za mało samochodów. Politykę trzeba zmotoryzować, pani rozumie... Ludzie mają teraz nielada sensację polityczną. Były ambasador wystąpił z rewelacyjnym odczytem, w którym powiedział, że 300 dygnitarzy w limuzynach rządzi 34 miljonami ludności. Tylko trzystu ma limuzyny... A reszta to nawet motocykla nie ma... Tak niskiego stanu motoryzacji niema w żadnym kraju. Kiedyż nareszcie będzie można z dumą powiedzieć, że 3000 dygnitarzy w limuzynach rządzi krajem. Każdy dygnitarz będzie miał swój wóz..

— Aby potem zostać pod wozem... co...

„Trzy minuty! Czy mówi się dalej?"

— Mówi się... Pani jest złośliwa — piękna Halino — grają teraz w Warszawie „Piękną Helenę"...

— Ach pamiętam... to z tego jest „Jedź na kredę"...

— Jedź na Kretę... to jest w Grecji, a nie u nas... No i właśnie jakby dla reklamy tej pięknej operetki Hemara — flota grecka zbuntowała się i wyjechała na Kretę. I rząd grecki został bez floty.

— No to niech zrobi pożyczkę narodową...

— Nie czas żartować, gdy Grecja płonie! W Macedonji rewolta... Rząd grecki jednak panuje nad położeniem i nerwami. Właśnie wysłano na Kretę lotników...

— Czy Ikar też poleciał..

— Nie, ale IKC — posłał zaraz Wrzosa...

— To w Grecji jest wrzos?.. Ja myślałam, że tylko w naszym klimacie...

— Proszę pani, wrzos rośnie wszędzie, nawet tam gdzie go nie posieją... Zresztą co znaczy klimat, czy dziś kto wie, jaki gdzie jest klimat... W Laponji jest tak gorąco, że 12 reniferów przyjechało do Zoologu w Poznaniu...

— Renifery — sprowadzamy rogaczy... To okropne, jakbyśmy mało ich mieli w kraju...

— Niech pani nie żartuje z poważnych spraw. Znałem taką panią, która przyprawiła pierwszemu mężowi rogi, a drugi jej pokazał rogi... Ale dość już o miłości — są ważniejsze sprawy. W tym Poznaniu toczy się teraz walka między prezydentem miasta a radą miejską. Radni nie przychodzą na posiedzenia, bo mają wieczory zajęte...

— Tak, tak... Kraków ma piękne życie wieczne, a Poznań nocne...

— Ale mówmy o czemś weselszem. Warszawa chce przenieść ze Lwowa eter... Żeby nie było już lwowskiej fali w eterze...

— A co słychać w Warszawie... co tam w trawie piszczy?

— Bieda piszczy... Niech sobie pani wyobrazi. Opowiadali mi, że wczoraj przyszedł do „Adrji" jakiś ziemianin z Kresów... i zamówił „pół porcji coctailu"... A potem, wyciągnąwszy papierośnicę zawołał na kelnera „Proszę o scyzoryk".

— Co chciał się zabić? Biedny...

— Ależ nie... tylko wyjął pudełko zapałek i przeciął zapałkę na połówkę i połówką tylko zapalił...

— To okropne...

— A propos okropne... W Wiedniu znowu sensacja... Proces Rintelena.

— Ależ Rintintin nie żyje...

— To z innej linji... hitlerowiec austrjacki... Broni się mężnie... twierdzi, że wszystkiemu winne plotki...

— Ma rację... Nie znoszę plotek... a co tam o mnie mówią w Krakowie?





Brygida Helm i dyr. Ufy Opitz (na lewo) na zamku wawelskim.
Fot. „As".



Hallo!

Hallo! — Czy mówi się dalej...



Venizelos wódz powstańców greckich.
Fot. Keystone—Berlin.



Dr. Rintelen b. austrjacki poseł w Rzymie.
Fot. Wide-World—Berlin.

— Mówią, że jest pani bardzo nowoczesną kobietą... do każdej sukni inny mężczyzna...

— A czy pan wie, że znowu się nie mam w co ubrać... Mam do pana prośbę, niech mi pan opisze w liście z Krakowa, jak były ubrane panie na ostatniej reducie... Bo widzi pan to radjo... Wczoraj specjalnie słuchałam ostatnich komunikatów i wiem tylko tyle, że król Syjamu abdykował, że Saara jest znowu niemiecka, że Hitler zachorował... ale jak się Brygida Helm czuje, jak była ubrana na reducie prasy, o tem ani słówka nie powiedzieli...

— Dobrze, dla pani wszystko... tak, tak karnawał się skończył... i zaczął się post. Karnawał się udał... teraz musimy udowodnić, że nie tylko tańczyć, ale i pościć umiemy. Bo Polak to jak mówi przysłowie i do tańca i do postu...

— Ale a propos post — czy to prawda o tej nowej pożyczce...

— Tak, tak, w poście zaczną się rozmyślania... rekolekcje...

— Acha, a propos rekolekcje... co pan słyszał o zmianie rządu...

— Zna pani to słynne filozoficzne powiedzonko „Świat się ciągle zmienia, a mimo to pozostaje ten sam..." to jest właśnie stałość rządów u nas, z których każdy trwa conajmniej...

„Sześć minut, czy mówi się dalej?"

— Ależ tak, oni bardzo lubią, jak się o nich mówi. W marcu będziemy mieli w Krakowie piękną sztukę reżyserji Dobrowolskiego „Straszliwy wychowawca"...

— A widzi pan, a jednak ten Polakiewicz był popularny...

— Niepoprawny marzyciel... chciał aby każdy chłopak wiejski miał zieloną koszulę... Ale a propos bielizna — czy pani wie, że Tłoczyński został mistrzem tennisowym Portugalji...

— A widzi pan... ja zawsze mówiłam, że Szwajcarzy są narodem zegarmistrzów, a my mistrzów...

— Ale gorzej było z naszymi narciarzami w mistrzostwach angielskich... nie mogli trafić do swoich bramek...

— Panie Henryku, nie chcę panu wymawiać, ale ile razy pan nie trafił do swojej bramy...

— Ale zawsze trafiałem w sedno... Ale teraz mamy sensację... Einstein...

— Co takiego?

— Einstein — ein — stein — tak jak po niemiecku „jeden kamień"...

— Jaki kamień?

— Jak kamień w wodę...

— W jaką wodę...

— W głęboką wodę... Dosyć... pani powinna robić na drutach... a nie słuchać na drucie...

— Pan mnie obraża...

— Ależ nie... mówmy już lepiej o Brygidzie Helm...

— Ach dobrze, dobrze... podobno miał pan z nią zrobić wywiad...

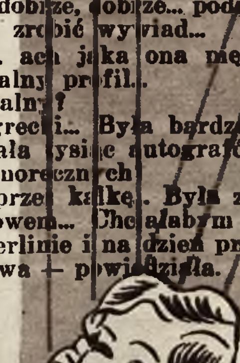
— Tak... ach jaka ona piękna... ma taki aktualny profil...

— Aktualny?

— No grecki... Była bardzo zmęczona... rozdała tysiąc autografów...

— Własnoręcznych?

— Nie przez kalkę... Była zachwycona Krakowem... Chciałabym noc spędzać w Berlinie i na dzień przyjeżdżać do Krakowa — powiedziała.



— To ona w dzień śpi?

— Zrobiliśmy jej wielką niespodziankę... sfilmowaliśmy ją... I teraz Brygida powiedziała, że nie będzie mogła doczekać się wyświetlenia tego obrazu... strasznie jest ciekawa, jak wypadnie na filmie...

— No dobrze, a co panu powiedziała w wywiadzie?

— Naprzód spojrzała na mnie wzrokiem jak brona...

— Brona?

— No takim powłóczystym... następnie skinęła jedną rzęsą, poczem rzekła tylko słowa „Uf...a — jestem zmęczona..."

— To bardzo ciekawe... I pan spędził w jej towarzystwie całą noc?

„Dziewięć minut... czy mówi się dalej?"

— Pani T. mówi się dalej.

„Ja nie jestem żadną panią T."

— Jakto nie jest pani telefonistką?

„Pan się rujnuje na rozmowy telefoniczne — pan ma taki miły głos — czy pan nie może używać go bardziej bezpośrednio, niż na 100 kilometrów".

— Dziękuję pani. — Hallo panno Halu — ktoś skorzystał z naszego drutu... Niema na świecie siły, któraby mnie zmusiła do przerwania rozmowy z panią...

„Hallo tu centrala telefoniczna — telefon niezapłacony — aparat zamykam..."

— Pani jest bez serca... ja chciałem jeszcze tej pani powiedzieć, że ją kocham.

„To może pan i mnie powiedzieć... Żegnam pana..." **MIKROFON.**

Baczność dzieci! Strzeżcie głowy

PĘDZI, LECI WÓZ PAROWY

Para bucha fu-fu-fu
Już przypędził, już jest tu!



Pierwszy pociąg parowy Stephensona z roku 1822.

Jeden z najważniejszych wynalazków doby nowoczesnej reprezentuje niewątpliwie kolej żelazna. Żaden z późniejszych środków komunikacyjnych, jak np. samochód, czy samolot, nie potrafił wyrugować kolei żelaznej z jej stanowiska, jako najważniejszego środka dla komunikacji masowej na długich przestrzeniach lądowych.

A jednak pierwszego wynalazcę Stephensona, który odważył się użyć swej kopcącej, dymiącej, a nadewszystko krzykliwej maszynki do transportu ludzi, okrzyczano jako warjata, uważając powszechnie, że szybkość około 15 km. na godzinę jest zasadniczo niezgodna z naturą ludzką i że żaden człowiek nie potrafi jej znieść bez nieszczęśliwych skutków dla swego zdrowia.

Oglądając dzisiaj na ilustracji pierwszy pociąg Stephensona w r. 1822, rozumiemy jednak, że potrzeba było nielada odwagi, aby powierzyć swoje kości takiemu monstrum.

A jednak z tego niepozornego, raczej śmiesznego wynalazku zrodziła się dzisiejsza potęga, jaką stanowi kolej żelazna na całym świecie. Dzisiaj jeszcze mierzymy stopień rozwoju cywilizacji danego kraju długością sieci kolei żelaznej, która się w nim znajduje.

Podziwiając parowóz dzisiejszej najnowszej „mody", nie możemy właściwie stwierdzić najmniejszego podobieństwa do jego praszczura. Przedewszystkiem znikł zupełnie komin. Również i koła są prawie zupełnie ukryte. Całość jest potężna, wysoka na około 6 m. Obecny aerodynamiczny kształt parowozu jest wynikiem doświadczeń dokonanych nietyle w kolejnictwie, ile w ruchu samochodowym i lotnictwie, a ma na celu zwiększenie szybkości parowozu. Przekonano się bowiem, że opór powietrza zużywa przy szybkości około 63 do 72 km. na godzinę niemal 50% siły motoru. Należało zatem przedewszystkiem zmniejszyć ten opór, a wtedy z łatwością udało się bez zbytniego zwiększania mocy motoru zwiększyć szybkość wozu.

Jesteśmy obecnie świadkami jednego z największych przewrotów w dziedzinie środków komunikacyjnych, który po raz pierwszy przejawił się w Ameryce, na trasie Nowy Jork—Toledo, gdzie uruchomiono pociąg aerodynamiczny.

Inż. A.

Express N. Jork-Toledo opuszcza dworzec centralny w Nowym Jorku.



Jednym z największych ewenementów muzycznego świata szwedzkiego była premjera „Erosa i Psyche" Ludomira Różyckiego w Operze w Stockholmie. Głośny ten utwór operowy polskiego kompozytora został przygytowany przez pierwszego reżysera teatru, Haralda Andre i otrzymał niezwykle oryginalną i bogatą oprawę dekoracyjną, kompozycji znanego szwedzkiego dekoratora Jon-Anda. Orkiestrą dyrygował pierwszy kapelmistrz opery Herbert Sandberg.

Główne partje opery odtworzyli najlepsi śpiewacy i śpiewaczki opery, między którymi błyszczała

EROS I PSYCHE W STOCKHOLMIE

Brita Hetzbeg, jako Psyche w otoczeniu Einara Beyrona, jako Erosa i Einara Larsona, jako Blaxa.

Wystawa wywołała prawdziwy zachwyt zebranej w teatrze elity publiczności stockholmskiej, wśród której obecni byli z królewskiej rodziny ks. Karol, brat króla, księżniczka Ingryd, poselstwo R. P. in corpore, przedstawiciele władz i t. d. Prasa szwedzka wyraża się w superlatywach o operze i jej wielkim kompozytorze.

Na zdjęciu, które obok reprodukujemy, widoczni są Einar Larson w roli Blaxa, w otoczeniu (od lewej) Brity Appelgren, Teodory Lagerbarg i Maj Landfeldt.





Sylwetki góralskie w wykonaniu Jana Gąsienicy - Szostaka.

MIŁOŚĆ, CZY FLIRT?

Tyrolczyk, Bawarczyk, Austrjak kocha swe góry całem sercem. Przyswaja sobie nietylko strój góralski i jego ozdoby, lecz pieśń, muzykę, a nawet gwarę góralską, modną w dzisiejszych salonach niemieckich.

Cesarz austrjacki nie obawiał się narazić swój królewsko-apostolski majestat, przez pokazanie się publiczne, z gołemi kolanami, w tyrolskim, tak ulubionym przez niego stroju.

To samo czyni dziś król angielski i lordowie Anglji, noszący z dumą uniform szkockich pułków góralskich, chełpiąc się swą spódniczką i golizną nóg.

Tyrolczycy potrafili w ostatnim czasie narzucić modę Europie i dziś, nasze piękne panie w Zakopanem i Warszawe noszą tyrolskie kapelusiki z szczecinką.

A my!

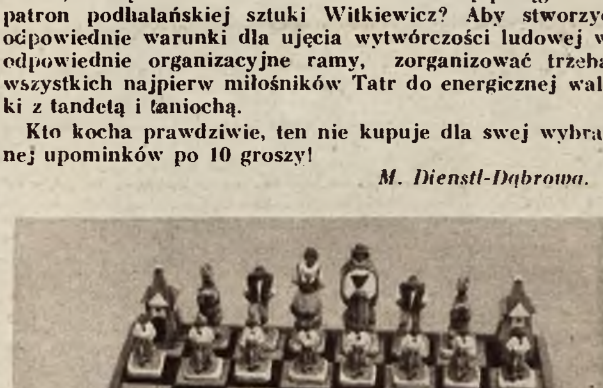
Miłość do Tatr i Podhala zaszczepili w nas przed pół wiekiem poeci, muzycy i malarze, jak: Tetmajer, Karłowicz, Witkiewicz, Pawlikowski i in. Niektórzy przypieczętowali tą najgorętszą swoją miłość tragiczną śmiercią wśród Tatr. Wśród współczesnych jakże mało wyczuwamy prawdziwej miłości do poezji i majestatu Tatr. Posiadamy niespożyte skarby, wielce ciekawej regjonalnej sztuki Podhala, a nie czynimy nic, aby podtrzymać to bogate dziedzictwo. Z chłodną obojętnością patrzymy jak górale tatrzańscy banalizują swój strój, a co gorsze, poczynają się już go wstydzić!

Znawcy Podhala twierdzą, iż krawcy i hafciarze góralscy są już na wymarciu. Miejska tandeta coraz częściej wciska się w Tatry, z których znika barwność góralskiego stroju, malarskiego akcentu podhalańskiego krajobrazu. A co dzieje się z przemysłem ludowym? Oto parę faktów i cyfr. Istnieje wprawdzie aż 75 sklepików z pamiątkami z Zakopanego, wiodących marny żywot. Pytamy się kupców, jakież to pamiątki kupują nasi turyści? „Tanie, najtańsze! Przeciętnie od 10 groszy do 1 złotego!..." To też góralski chałupniczy przemysł przystosował się tragicznie do tych cen i odpowiednio brutalizuje i banalizuje stare, szlachetne wzory snycerskie i inne. W Zakopanem sprzedaje się rocznie około 10.000 ciupag, lecz te ciupagi tylko w małej części są wytworem rąk podhalańskich snycerzy. Większość przywożą hurtownicy z pod Kalwarji, Olkusza i Jaworowa (pod Lwowem), a nawet z warszawskich Nalewek, sprzedając je sklepikom po cenie od 30 groszy za sztukę. Trzydzieści groszy za ciupagę wraz z materjałem, robocizną i dostawą do sklepu! Obsadki bywają dostarczane przez podhalańskich snycerzy, rzeźbione w drzewie z szarotką, lub orłem, w cenie od 5 groszy za sztukę. Czy taką ceną opłacić można sprawiedliwie i słusznie materjal, trud i wartość rzemiosła chałupnika? Czy ta pogoń za tanizną nie wypacza i nie zabija życia i rozwoju ludowej sztuki. Posiadamy całą falangę wybitnych podhalańskich artystów, którzy wytwarzają prawdziwe dzieła sztuki regjonalnej, związane z najpiękniejszą tradycją dekoracyjną. Artyści dostarczają na rynek swych wzorów, które jednak bywają podchwytywane przez nieuczciwych handlarzy i zbanalizowane nędznem wykonaniem. Żmudną walkę z tandetą prowadzą w Zakopanem artyści prof. Brzega, prof. Olszowski, prof. Karol Kłosowski, snycerze Jan Szostak-Gąsienica, pochodzący ze starej snycerskiej rodziny, Wieczorek, Pasternak, doskonały ceramik, Jan Sobczak, oraz solidny białoskórnik, Józef Rosenbeiger i szereg innych. Wszyscy pracują w niezmiernie przykrych warunkach finansowych, pozbawieni odpowiednich warsztatów i urządzeń technicznych. Praca ich wynagradzaną jest niesłychanie nisko. Podam jako przykład fakt, iż utalentowany snycerz Jan Gąsienica-Szostak za pełną fantazji góralskiej kompozycję, wykonaną w arcytrudnej technice inkrustacyjnej (używa 70 kosztownych gatunków drzewa) otrzymuje za pracę wielkości 22 cm. na 30 cm., wykonaną w ciągu trzech dni wynagrodzenie 25 złotych!

Czyż nie należałoby poprzestać z kupowaniem taniochy, a począć popierać wytwórczość oryginalną artystów, podtrzymujących tradycję starej podhalańskiej dekoracyjnej sztuki, którą z takiem znawstwem i miłością pielęgnował patron podhalańskiej sztuki Witkiewicz? Aby stworzyć odpowiednie warunki dla ujęcia wytwórczości ludowej w odpowiednie organizacyjne ramy, zorganizować trzeba wszystkich najpierw miłośników Tatr do energicznej walki z tandetą i taniochą.

Kto kocha prawdziwie, ten nie kupuje dla swej wybranej upominków po 10 groszy!

M. Dienstl-Dąbrowa.



Szachy góralskie wykonane w drzewie przez Jana Gąsienicę Szostaka.

HAMULEC BEZPIECZEŃSTWA.

Nowela

JOLA FUCHSÓWNA

— Pomarańcze, czekoladki, piiiwo — wołał piskliwie chłopak w białym kitlu.

— Gazety, ilustracje, papierosy — starał się go przekrzyczeć jednonogi inwalida z wielką torbą dzienników, przewieszoną przez ramię.

Peron był prawie pusty, pomimo, iż pociąg stał już pod parą. W jednym kącie, grupa bagażowych rozprawiała, jak to, psiakrew, trudno teraz złotego zarobić! Pociąg pusty, a jak się znajdzie jakiś pasażer, to sam taszczy sobie bagaż do trzeciej klasy. A przez całą zimę jeździli sami tylko narciarze. Deski na plecach i jedna koszula na zmianę! A teraz jest martwy sezon. Takie czasy niewydarzone.

Spacerując po peronie, pani Zula słuchała z roztargnieniem ostatnich poleceń mężowskich. Mówił zresztą bez sensu i tak, jakby była jeszcze dzieckiem. Czy dobrze schowała bilet? Czy ma napewno miejsce przy oknie? I żeby uważała na przeciągi! I żeby się nie dała nabrać dorożkarzom, jak przyjedzie!

— Wziąłem ci pierwszą klasę — mówił z zadowoleniem, sapiąc przytem astmatycznie. — Jak kobieta sama podróżuje powinna mieć wygodę. A będziesz w drodze pięć, czy sześć godzin.

Pani Zula wydęła lekceważąco wargi. Jedzie pierwszą klasą, ale zato w martwym sezonie! Marzec. W Krynicy nie będzie już żywego ducha. Niewiadomo poco zabrała wieczorowe suknie A mąż, jak na złość, powtarzał, że będzie tam miała idealny spokój, że to jej świetnie zrobi na nerwy i jakieś tym podobne banalne pocieszenia.

Automat z lustrem odbił jej smukłą sylwetkę, nienagannie ubraną, od burego kostjumu podróżnego począwszy, a skończywszy na bucikach z krokodylej skóry. Pomyślała z westchnieniem, że tak ubrana kobieta powinna jechać na Riwjerę! Zwidziały jej się przez chwilę czuby palm, zawieszonych nad modrością morza i biel Palace-hoteli i hojnie rozrzucone złoto mimozy. Popatrzyła złym okiem na męża, który kupił jej bilet pierwszej klasy do Krynicy.

— Proszę wsiadać! — zawołał konduktor. Mąż — nerwowy, jak zwykle — wepchnął ją prawie na stopnie wagonu. Weszła do swego przedziału i stanęła w oknie. Mąż krzyczał coś do niej, czego nie mogła dosłyszeć przez szybę, ale domyślała się, że z pewnością jest znowu mowa o bilecie. No i żeby uważała na siebie! Uśmiechała się, kiwała głową potakująco i pragnęła, aby pociąg ruszył już nareszcie. Ten pusty dworzec działał na nią deprymująco.

Wagon drgnął, zachybotał się i niepewnie, jak pijany, zaczął się poruszać. Mąż zamachał



kapeluszem na pożegnanie. Wiatr rozganiał mu kępkę włosów, maskujących łysinę. Chłopiec, sprzedający pomarańcze, dłubał w nosie i gapił się w jej okno. Potem obaj zmaleli, stali się ledwo widoczni, wreszcie straciła ich z oczu. Pociąg minął dworzec i rozpędzał się coraz bardziej.

Z westchnieniem ulgi usiadła, sprawdziwszy wprzód, że oba futra wiszą na haku obok ławki, a walizki leżą w siatce nad jej głową. Pierwsza klasa jest naprawdę wygodna. Wiśniowy aksamit na obiciach przypomina stary, mieszczański salon. W lustrze odbija się jej bury, filcowy kapelusik, nasunięty ukośnie na jasne włosy. Dwie powiększone fotografje w drewnianych ramkach obrazują piękność świata, do której się zdąża na szynach kolejowych. Przyjrzała się im uważnie: jakieś średniowieczne miasteczko — Rothenburg ob der Taube — a druga: naturalnie Promenade des Anglais w Nizzy.

Mimozy! Mężczyźni w białych flanelach i kobiety w dużych kapeluszach piją oranżadę przez słomki. Słońce, słońce, słońce! Tymczasem za oknem jest smętny, marcowy krajobraz, czarna ziemia tylko tu i ówdzie przysypana śniegiem, drzewa nagie i skulone, i niekończąca się melancholja drutów telegraficznych.

Zasunęła firankę, by tego nie widzieć. Zmierzchało się już i nie można było czytać. Jak tylko nadejdzie konduktor, każe mu zapalić lampy. Ten pociąg się tak jakoś wlecze. Niktby nie pomyślał, że to pospieszny. A zagranicą pociągi śmigają poprostu, jak strzały!

— Tak, tak, tak — potwierdzał machinalnie stukot kół. Przejechali jakąś rzekę. We drzwiach przedziału błysnęło światełko lampki elektrycznej. Ukazała się barczysta postać konduktora. Był młody, miał wesoły wyraz twarzy.

Podała mu swój bilet i poprosiła, aby zapalił gaz. Zrobił to bardzo precyzyjnie. W przedziale rozlało się sine światło.

— O dziesiątej będzie pani na miejscu — rzekł konduktor. — Kawał czasu! Nie boi się pani tak sama jechać? W całym wagonie niema żywej duszy.

— Doprawdy? — zapytała raczej obojętnie.

— No, jakże, kiedy mówię! Teraz martwy sezon, nikt prawie do Krynicy nie jedzie. A jak — to już trzecią klasą. W tym wagonie tylko pierwsza i druga. Samiuteńka pani, jak ten palec. Niechno pani uważa na rzeczy!

— Bandyci nie grasują chyba na tej linji — rzekła z uśmiechem, chociaż poczuła się jakoś nieswojo.

— Grasują, nie grasują, a zawsze może któ-

ryś wskoczyć na przystanku, chwycić walizki i szukaj wiatru w polu!

— Jest przecież hamulec bezpieczeństwa — powiedziała trochę już wyprowadzona z równowagi.

Konduktor roześmiał się, jak z najlepszego kawału.

— Gdzie pani, gdzie hamulec? — oświadczył jowialnie. — Jakem jeździł na linji w stronę Baranowicz, to jedna pani zatrzymała pociąg, ale złodzieje byli już daleko z futrem i z pieniądzmi.

Pani Zula spojrzała spod oka na konduktora. Nie była lękliwą, ale te historje o bandytach nie poszły jej w smak. Poco on jej to opowiada? A może jest sam w zmowie z jakimiś złodziejami?

— Nie boję się napadu — powiedziała chłodno. — Nie podróżuję nigdy bez rewolweru! — Było to oczywiście zmyślone. Pani Zula nie miała nigdy rewolweru w ręce.

— Gdzie oni, gdzie rewolwer? — zawołał już na dobre rozbawiony konduktor. — Nie czytała pani w gazecie o tym księdzu, co go uśpili w drodze do Częstochowy?

— Ale mnie nie uśpią!

— Tak to się mówi. Wejdzie taki elegancki pan do przedziału, ubranie na nim śliczne, nowiusieńkie buciki, wyciągnie taką szczerozłotą papierośnicę i zapyta, czy pani pozwoli zapalić. A jak zapali papierosa, to się pani zrobi strasznie śpiąca, a jak się pani obudzi, nie będzie ani eleganckiego pana, ani bagażu.

— Gdzie pan wyczytał tę historję? — zapytała surowo, bo już ją zaczynał brać gniew na gadatliwego konduktora.

— To było zagranicą — przyznał skruszony. — Gdzieś we Francji. Aha, już wiem: w Monte Carlo. No, ale na tej linji jest spokój. Za godzinkę zaglądnę tu do pani, czy wszystko w porządku. Dobrze?

Odszedł nareszcie. Pani Zula próbowała się śmiać. Ale świadomość, że jest sama w całym wagonie nie była zbyt przyjemną. Szkoda, że wcześniej o tem nie wiedziała. Naturalnie to pomysł jej męża kupowania biletu pierwszej klasy. Wszystkie jego pomysły są poronione! Napisze mu z Krynicy, jak ją urządził.

— Tak, tak, tak — potwierdzał stukot kół pociągu. Teraz tempo było szybsze. Mijali jakieś przystanki, nie zatrzymując się wcale. W okno coś uderzało: śnieg, czy deszcz? Raczej deszcz. Ach ten marzec! Była zbyt leniwą, aby sięgnąć po ilustrowane tygodniki leżące na półce. Wlepiła oczy w fotografję wyobrażającą promenadę w Nizzy.

Mimozy. Marzyła o nich z przymkniętemi oczyma. Biały kostjum z żakietem trois-quart i duży kapelusz panama. A może florentyński? Nie, lepiej panama. Co to się wydarzyło w Monte Carlo? Uśpiono jakiegoś księdza? Ach nie, to było pod Częstochową. Osioł z tego konduktora! Swoją drogą, chciałaby już być na miejscu. Męczący jest ten miarowy stukot kół i to przesycone ciepłem powietrze. Poco tak opalają pociąg, kiedy niema mrozu? Ziewnęła parę razy. Była senna. Właściwie mogłaby doskonale wyciągnąć nogi na tej aksamitnej kanapce. Ale nie uśnie. O, nie! Musi być czujną, jeśli już jest sama w całym wagonie.

Znowu się jej zwidziały mimozy. Tym razem miała zupełne wrażenie, że spaceruje po promenadzie Anglików. W białym kostjumie i dużym kapeluszu panama. Słońce jest tak intensywne, że musi mrużyć oczy. Powietrze pachnie wszystkiemi zapachami południa. A może rozbija się o brzeg z łoskotem, przypominającym zupełnie dudnienie kół pociągu.

Naraz jakiś wstrząs. Wyprostowała się odruchowo. Pociąg minął jakąś większą stację. Musiała spać. Machinalnie spojrzała na zegarek w branzoletce. Tak jest: spała więcej, niż pół godziny. Potem podniosła głowę i z wielkim trudem powstrzymała się od głośnego krzyku.

Na ławce naprzeciw siedział jakiś mężczyzna.

Nie widziała jego twarzy, gdyż była zakryta wielką płachtą gazety. Szybkiemi spojrzeniami otaksowała tylko postać w doskonałem, angielskiem ubraniu podróżnem, stopy w wytwornych bucikach, wypielęgnowane ręce, trzymające gazetę...

— No więc cóż — pomyślała sobie, chcąc się uspokoić — wsiadł na ostatnim przystanku. Cóż w tem nadzwyczajnego? Kolej jest dla wszystkich!

Ale zaraz później zauważyła, że jedynym bagażem nieznajomego jest malutki, skórzany neseser i znowu zrobiło jej się zimno z przerażenia.

Starała się prawie nie oddychać, aby nie zwrócić jego uwagi. „Niech już lepiej myśli, że śpię!“ Ale równocześnie nie zdziwiłaby się, gdyby usłyszał bicie jej serca, które wydało jej się głośniejsze od stukotu kół.



Ach, gdybyż mogła wyjść z tego przedziału! Tak, ale kurytarz jest pusty, a inne przedziały też. A potem, jakże mogłaby tak zostawić rzeczy. Oba futra... walizki... Właściwie mógł to był zabrać w czasie, gdy ona spała. Oczywiście, o ile był złodziejem... A może nie chciał się zadowolić walizkami? Machinalnie dotknęła ręką pereł, tak chłodnych na rozpalonej skórze szyi. Poprzez zamsz rękawiczki wyczuwała ucisk pierścionków na palcach...

Ach, ten konduktor, ten konduktor! Tam siedzi, jakiś Bogu ducha winny pasażer, a ona wymyśla tymczasem cały romans kryminalny. Tak, to prawda, ma całkiem roztrzęsione nerwy. Kuracja jej dobrze zrobi. A teraz przestanie zwracać na niego uwagę.

Tak, ale jeśli to zwyczajny pasażer, dlaczego tak zasłania twarz gazetą? Dlaczego jej nie uchyli? Widocznie nie chce być widzianym. A może za chwilę wyjmie z kieszeni złotą papierośnicę i powie niedbale: „Pani pozwoli, że zapalę?“

Potworny strach przygwoździł ją do ławki. W nadmiernie ogrzanym przedziale, trzęsła się poprostu z zimna. O, niechby już wreszcie przemówił! — Wszystko jest lepsze, niż to milczenie, przysłonięte płachtą gazety. Niechby już wiedziała, co ją czeka! Te ręce długie i wypielęgnowane, to przecież typowe ręce zbrodniarza. Jak to było z tym księdzem pod Częstochową? Nie, raczej ta historja z Monte Carlo... Czy to możliwe, aby on nie słyszał, jak jej zęby szczękają z przerażenia?

Udręczone oczy zatrzymały się wreszcie na jakimś przedmiocie, tuż nad drzwiami. Hamulec bezpieczeństwa... Czy tylko będzie mogła dojść do niego. Hamulec jest nad drzwiami, a ona siedzi przy oknie... A ten człowiek jej naprzeciwko. Nie, stanowczo niema chwili do stracenia.

Spojrzała znów na niego. W dalszym ciągu udaje, że czyta gazetę. Obserwuje ją przypuszczalnie z ukrycia. Wszystko jedno zresztą, co się później stanie. Nie może dłużej tak siedzieć! Nerwy jej nie wytrzymają. Sprężyła się cała w sobie, skoczyła do drzwi i z całej siły targnęła za hamulec.

Chwila wyczekiwania. Potem cały wagon szarpnął się w jakimś dzikim ruchu, zatańczył w miejscu, wreszcie stanął. Z ustami otwartemi do krzyku, czekała co będzie dalej. Gazeta wypadła z rąk nieznajomemu. Pani Zula ujrzała jego twarz. Spał. Ten człowiek spał w najlepsze i nie obudził się nawet, gdy pociąg stanął.

W drzwiach ukazało się przerażone oblicze konduktora.

WSPÓŁCZESNA DANAE

W greckiej mitologji sławna jest przypowieść o Danae, która swoimi wdziękami potrafiła usidłać nie byle kogo, bo samego Jowisza. Ten czuły na piękno ziemianek pan nieba, nie mogąc inaczej zdobyć uwięzionej Danae zstąpił do celi więziennej pod postacią złotego deszczu.

Mit o greckiej Danae znalazł swoje zastosowanie i odbicie w dobie nowoczesnej. Oto w Ameryce — gdzieżby indziej? — znalazła się kobieta niebywałej urody, rozporządzająca olbrzymim majątkiem rodzinnym, której szlak życia prowadzi przez luksusowe apartamenty samych miljarderów. Współczesna Danae nie polowała na drobnych bogów, ale na prawdziwych Jowiszów dzisiejszego świata — miljarderów!

Wyszła z domu arystokracji finansowej U. S. A. — z pałaców i will fabrykanta samochodów Nasha, którego eleganckie limuzyny stanowią cel westchnień niejednej pięknej Amerykanki. Chowana w nieprawdopodobnym zbytku postanowiła uczynić sobie z życia zabawę o najbardziej luksusowej oprawie. Wspaniale zbudowana, co jest zresztą wspólną niejako cechą kraju najpiękniej zbudowanych kobiet — Ameryki, smukła i wysportowana, o twarzy nacechowanej delikatnością rysów — wkroczyła w samo serce amerykańskiego życia wielkoświatowego. Powodowała nią ambicja nie byle jaka. Pragnęła zostać dyktatorką mody kobiecej w Stanach Zjednoczonych, której suknie, kapelusze, buciki, płaszcze i wszelkie małe drobiazgi toalety byłyby kopjowane, naśladowane i opiewane.



Pani Dubonnet, według portretu znanego malarza Tad. Styki.

Tak się też stało. Rozporządzając fantastyczną fortuną potrafiła piękna panna Nash zgromadzić koło siebie sztab artystów, którzy projektowali jej toalety. Były to kreacje w najwyższym stylu, suknie o niepowtarzających się wzorach, prawdziwie „wielkie toalety", które stanowią ewenement balów, przyjęć i rautów. Kapryśna córka miljardera nie cieszyła się jednak długo jedną taką kreacją. Były to wszystko — jętki jedniodniowe, motyle, trwające zaledwie 24 godzin. Suknie jej zmieniały się z okropną szybkością, ustępując miejsca coraz to nowym i nowym pomysłom. Opowiadają sobie, że w szafach panny Nash nagromadziło się coś około trzech tysięcy sukien, które oczywiście zdobiły później figury przyjaciółek miljarderki, względnie panien służących.

Przyzwyczajona do luksusów współczesna Danae nie potrafiła zniżyć się z chwilą, gdy porzuciła dom rodzinny i postanowiła związać się małżeństwem.

Jej trzej zkolei mężowie należeli do ekstraklasy miljarderskiej.

Wszyscy trzej zostali ogołoceni ze swoich miljardów dzięki niebywałym ekstrawagancjom pięknej, jak bóstwo panny Nash. Czując, że zapasy złota topnieją, oglądała się królowa mody amerykańskiej szybko za następną ofiarą.

Wreszcie wylądowała w Europie. Uznała widocznie, że Ameryka przestała być ciekawa i że powinno się pokazać swój czar, swoje wspaniałe toalety także i Europie. Oczywiście nie mogła wylądować gdzieindziej, jak w Paryżu. Odnieść sukces w Paryżu, tej stolicy mody światowej, zwrócić na siebie uwagę tamtejszych elegantek, zaprząc do pracy wyrafinowanych rysowników i artystów „miasta światła" — oto ambicja, która musiała przyświecać fantastycznej Amerykance.

Przybywszy do Paryża potrafiła trzykrotna rozwódka zwrócić na siebie uwagę wielkiej ryby francuskiego przemysłu. Oto oczko jej padło na słynnego fabrykanta likierów i aperetivów, Dubonneta, którego nazwisko zdobi tysiące murów Paryża zarówno nad ziemią, jak i na ziemi, i pod ziemią. Fabrykant Dubonnet zdobył podobno rekord w trwaniu małżeństwa z panną Nash; niewiadomo jednak, jak długo jego olbrzymie zasoby wytrzymają napór bardzo poważnych wydatków Amerykanki. Albowiem pani Dubonnet postawiła sobie cele bardzo ambitne: pragnie niejako ponad głowami paryskich magazynów, wielkich domów mody, które dyktują wzory i modele na różne sposoby — lansować własne pomysły, kreować własne modele, jednem słowem odgrywać wobec świata tę rolę, jaką w dziedzinie mody męskiej gra książę Walji.

Więc znowu jak w Nowym Jorku, tak teraz w Paryżu kręcą się wokoło ciągle jeszcze pięknej Amerykanki, rozliczni artyści i rysownicy, którzy łamią głowy nad tem, ażeby wyszukać jakieś nowe imię dla kreacyj niekoronowanej królowej mody. Jednak Paryż dzisiejszy nie jest Paryżem z przed lat dziesięciu, kiedy rozmaici królowie mody, jak Poiret, opływali w dostatki. Dzisiaj ten sam Poiret zbankrutował na całego i pobiera zasiłki dla bezrobotnych. Chcąc ratować się w tej niemiłej sytuacji, zorganizował objazd autobusowy różnych wielkich ośrodków Francji wraz z szeregiem modeli. Największą atrakcją tego domu mody na kółkach jest to, że każda suknia kosztuje tam 600 franków...

W tych kryzysowych warunkach ekstrawagancje niepokonanej przez czas pani Dubonnet mają mało szans powodzenia. A jednak Paryż jest już takiem miastem, że musi mieć swoje ekstrawagancje, dziwactwa, swoje kaprysy i fantastyczne pomysły...

TRZY „ASY" MÓWIĄ:

„Najdramatyczniejszy moment w mem życiu"...



Janina Kurkowska-Spychajowa, mistrzyni świata w strzelaniu z łuku

JANINA KURKOWSKA-SPYCHAJOWA,
mistrzyni świata w łucznictwie.

Nowoczesna Amazonka, najpierwsza z łuczniczek mieszka w Warszawie i pracuje w gmachu PKO. Pani Janina Kurkowska-Spychajowa trzykrotnie zdobyła mistrzostwo świata w strzelaniu z łuku.

Ktoby to pomyślał. Szczupła i drobna kobietka o długich blond włosach, jasnych, niebieskich, trwożnie spoglądających oczach i ukarminowanych ustach opowiada o początkach swej karjery sportowej.

— Skąd Pani to przyszło?

— To strzelanie z łuku?

— Właśnie!

— Niech pan sobie wyobrazi, że nie było w tem nic romantycznego: ani wielkie wzory historyczne. ani podróż do rezerwatów Indjan w Ameryce północnej. Poprostu zaproponowano mi na zebraniu klubu sportowego „Rodziny Wojskowej" wstąpienie do sekcji łuczniczej. Było to 5 lat temu. Uprawiałam wtedy różne sporty: pływałam, wiosłowałam i grałam w siatkówkę, jeździłam konno itd. Teraz nie istnieje dla mnie nic poza łucznictwem. Nie ma pan pojęcia, jak to wciąga i emocjonuje. Obserwowałam to nietylko na sobie.

— Proszę pana, mówi nagle p. Spychajowa, do PKO. nie przychodzi się, żeby rozmawiać o sporcie!

— Ma Pani najzupełniejszą rację — odpowiadam. Ja też nie przyszedłem tutaj w tym celu. Wizyta moja związana jest z najbardziej dramatycznym momentem w Pani życiu.

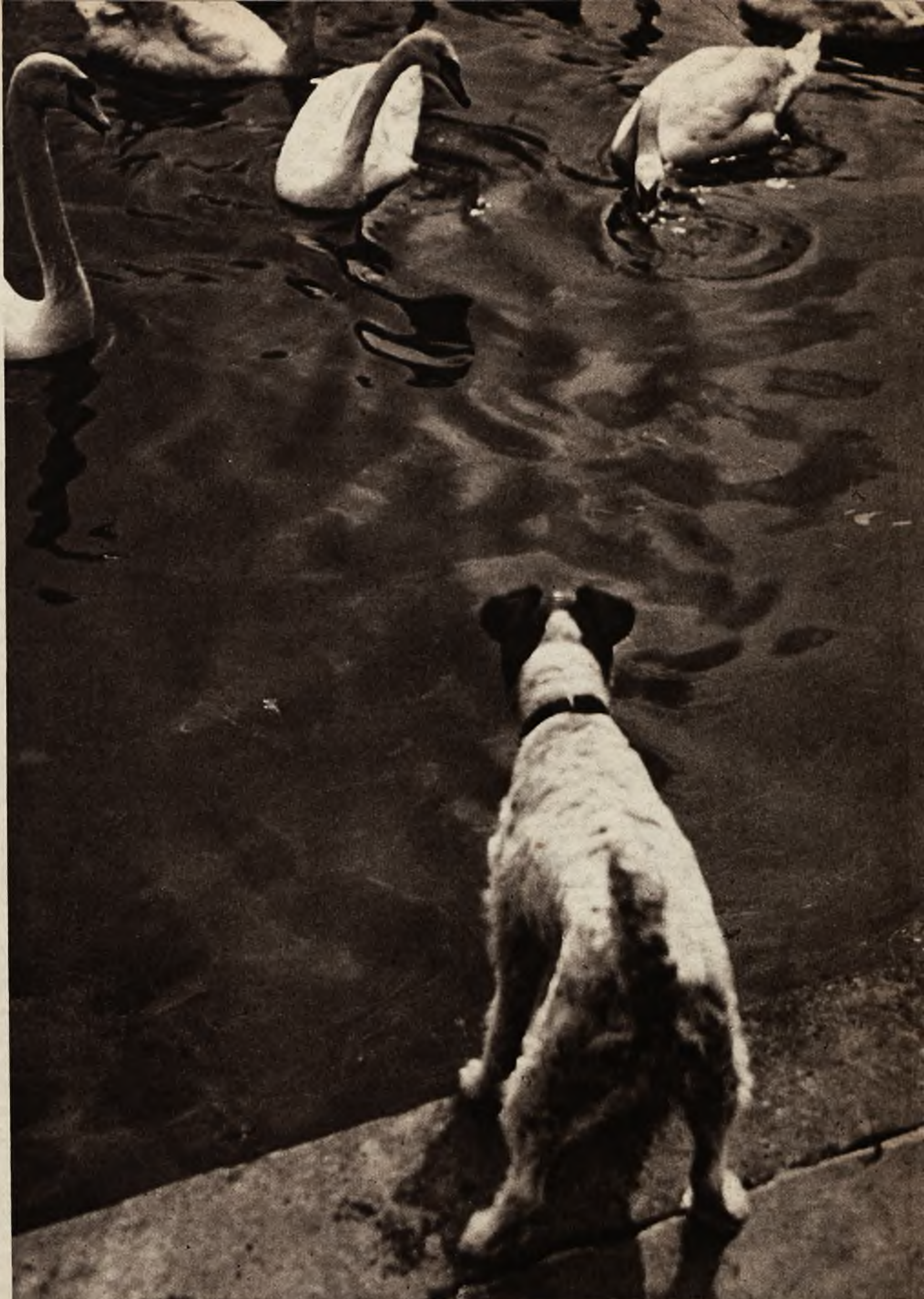
— Nie przypominam sobie...

— Ja również i dlatego pragnę właśnie, żeby Pani o tem opowiedziała.

— Nie miałam na szczęście dramatów w swem życiu, a dramatyczne momenty? Te zjawiły się dość często w ostatnich pięciu latach. Ale to znów związane jest ze sportem.

Umawiamy się na wieczór.

— Najbardziej dramatyczny moment przechodziłam przed międzynarodowemi zawodami łuczniczemi w Londynie przed dwoma laty. Przed wyjazdem naszej drużyny do Londynu brałam udział w zawodach krajowych i eliminacyjnych w Poznaniu. Byłam już wtedy po długim okresie intensywnego treningu. To wszystko nadwerężyło mi palce. Bo z temi mojemi palcami jest okropna bieda. Nikomu innemu z moich kolegów i koleżanek w sporcie łuczniczym to się nie zdarza. Od naciągania cięciwy palce prawej ręki krwawią, puchną, pod skórą zbiera się materja. Wtedy właśnie jechałam na mistrzostwa świata do Londynu, mając palce zdarte niemal do kości. Byłam czołową zawodniczką ekipy polskiej i od osiągniętych przezemnie wyników zależało w znacznej mierze zwycięstwo. Kiedy zjawiłam się na boisku londyńskiem i przystąpiłam do treningu, sytuacja była rozpaczliwa. Naciągnięta cięciwa rozdzierała niezasklepione rany na palcach. Zrezygnowana przerwałam trening i pełna najbardziej pesymistycznych myśli przyglądałam się ćwiczeniom współzawodniczek. Gdy tak stałam smutnie oparta o balustradę, podszedł do mnie lord



ŁABĘDZIE...

Przypominając smukłą poezję Samaina,
miękie w ruchach na wodzie zakreślają koła
łabędzie — jak do zwrotki nachylony temat,
jak pieśń wiosny idącej młoda i wesoła.

As chciał skoczyć do wody, aby przynieść kamień
rzucony ręką pana — lecz wstrzymał się w pędzie:
ujrzał psiemi oczyma piękno, co nie kłamie —
puszyste, żywe łodzie fal — łabędzie...

WIT.

Revelstoke, który patronował zawodom i zapytał, dlaczego nie trenuję. Pokazałam mu poranioną rękę i powiedziałam, że resztki sił i możliwości chcę zachować na jutrzejsze zawody.

Lord Revelstoke, nie mówiąc ani słowa, wsadził mnie do samochodu i zawiózł do chirurga. Lekarz londyński uznał sytuację za dość ciężką, obiecał jednak mnie wyratować z opresji. Dostałam cudowne lekarstwo, noszące wielce obiecującą nazwę „New Skin", co zn. „Nowa Skóra", nie zawiodło ono pokładanych nadziei. Gdy się obudziłam rano w dniu zawodów, okropnie poranione palce wyglądały już prawie zupełnie dobrze. Naciągnęłam z całej siły cięciwę łuku i, o dziwo, nie czułam owego piekącego bólu. Zawody skończyły się bardzo szczęśliwie: po raz drugi zdobyłam mistrzostwa świata.

MARJA MALICKA
gwiazda polskiego teatru.

Najdramatyczniejszy moment w życiu Marysi Malickiej? Czy wogóle były takie dramatyczne momenty w jej życiu? Wydaje się to nieprawdopodobne i nieharmonizujące z jej tak dobrze znaną szlachetną sylwetką. Pełen niewysłowionej słodyczy uśmiech chyba nigdy nie schodzi z jej twarzy?

Niedzielne popołudnie. Jestem w nowoczesnem, z dużym artystycznym smakiem urządzonem mieszkaniu Marji Malickiej i Zbyszka Sawana — Nowakowskich. Pani Marysia zgodziła się chętnie opowiedzieć o najdramatyczniejszym momencie swego życia. Co to może być?

— Przeszło pięć lat minęło od tego okropnego wypadku„ ale do dzisiaj wszystkie jego szczegóły żywo pozostały w pamięci. Było to w listopadzie 1929 roku. Od kilku miesięcy byliśmy już w tournée po całym kraju. Jeździliśmy ze sztuką niemieckiego autora, Lentza, p. t.: „Trio". Obsadę sztuki stanowili: Aleksander Węgierko, Zbyszko, no i ja. Towarzyszyła nam przez pewien czas moja siostra, Nela. Nasz impresario p. Narkiewicz urozmaicał nam długie i częste bardzo męczące podróże z miasta do miasta opowiadaniem niezliczonych dykteryjek. Jego zapas był niewyczerpany. Drogę z Łucka do Równego musieliśmy odbyć autobusem. Nasz samochód, którym podróżowaliśmy po całym kraju, zepsuł się i trzeba było go zostawić w Łucku. Przyznam się, że do autobusu wsiadałam z wielkim strachem. Z tego środka lokomocji miałam skorzystać po raz pierwszy w życiu. Szosa z Łucka do Równego jest dobra. Mimo niewygody podróż odbywała się w wesołym nastroju. Narkiewicz sypał kawałami, jak z rękawa. Dojeżdżaliśmy do Ołyki. Nasz dowcipny impressaria opowiadał właśnie jakąś zabawną historyjkę o Katarzynie Wielkiej, gdy nagle ktoś przeraźliwie krzyknął: „Pociąg!" Wszyscy zwróciliśmy wzrok w stronę przejazdu. Właścicielka autobusu śmiertelnie przerażona wołała do szofera, żeby zahamował, ale mój mąż z całych sił krzyknął: „Gazu!" Tyle mocy było w jego głosie, że szofer posłuchał. Na torze były już tylko tylne koła, gdy nastąpiło zderzenie. Wszystko razem trwało ułamek sekundy. Poczułam silne uderzenie w plecy i straciłam przytomność.



Marja Malicka — sławna artystka dramatyczna.

Parowóz zdruzgotał tył autobusu, wszyscy pasażerowie wypadli na tor. Mnie odrzuciło na drogę, o jakie 5 metrów od miejsca wypadku. Pociąg zatrzymano i rozpoczęto akcję ratunkową. Z pośród pasażerów autobusu, tylko moja siostra i mąż wyszli prawie bez szwanku. Wszyscy inni odnieśli ciężkie obrażenia.

Miejsce wypadku wyglądało okropnie. Na torze porozrzucane były części zniszczonego bagażu. Gdzieś daleko na szyny padła moja szkarłatna suknia balowa. Siostra spostrzegłszy tę jaskrawą plamę na torze, w pierwszej chwili myślała, że to moje krwawe strzępy. Rozpacz jej nie miała granic. Znalazła mnie wreszcie na szosie. Wyglądałam okropnie, krew zmieszana z błotem, mogła przerazić najbardziej obojętnego. Gdy na chwilę odzyskałam przytomność, nie mogłam się zorjentować, czy jeszcze żyję, czy może już umarłam.

Musieliśmy się znajdować tego dnia pod szczególnie fatalną gwiazdą. Zdawałoby się, że już nic bardziej groźnego spotkać nas nie może; tymczasem nowe niebezpieczeństwo! Na szosie ukazał się samochód ciężarowy. Jednak z dużą szybkością. Ciężarówką jechali pijani handlarze z transportem nierogacizny, którzy, nie zważając na rozpaczliwe sygnały mojej siostry, pędzili wprost na mnie. Nela biegła im naprzeciw, przeraźliwie krzycząc i wznosząc błagalnie ręce. Myślała już o rzuceniu się pod koła, gdy stał się cud. Czy zrozumieli rozpaczliwe okrzyki mojej siostry, czy pijany kierowca oprzytomniał, dość, że wóz stanął.

Obsługa pociągu brała żywy udział w niesieniu pomocy rannym. Jeden z wagonów zamieniono na ambulans. Ciężko ranną i napół przytomną ułożono mnie na słomie, pod ścianą. W innych kątach wagonu leżała reszta ofiar katastrofy.

W najbardziej dramatycznych wypadkach zdarzają się zabawne epizody. Tak było i w naszej katastrofie. Bohaterem wesołego epizodu był oczywiście nasz impresario Narkiewicz. Wszyscy byli przekonani, że już nie żyje. Leżał pod rozbitym autobusem, a strzaskana oś opierała się o jego skroń. Nikt więc nie miał wątpliwości, że zginął. Trzeba było myśleć o rannych, nikt się nie interesował „trupem". Nagle „trup" wstał i z całym spokojem zapytał:

— Co się tu właściwie stało?

— Tem pytaniem zamęczał wszystkich

przez całą drogę do Równego. Tłumaczono mu na wszelkie sposoby. Nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób znaleźliśmy się w autobusie. — Jechaliśmy z Łucka, mówiono mu. — No tak, ale czy byliśmy w Łucku? Nie nie pamiętam.

— A jaka tam była kasa? Kiedy mu wreszcie powiedziano, że w Łucku mieliśmy 1.754 zł. 50 gr., nagle wszystko sobie przypomniał.

To wszystko opowiedziano mi dopiero w kilka dni później. Przez całą drogę bowiem nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dookoła dzieje. Na stacji w Równem czekał już lekarz i sanitarjusze. Oprzytomniałam w czasie pierwszego opatrunku i zauważyłam, że doktór goli mi głowę.

— Co pan robi, doktorze? zawołałam przerażona, przecież ja gram dziś wieczorem!

— Nie grałam jednak ani tego, ani przez wiele następnych wieczorów. Leczenie w szpitalu rówieńskim trwało dwa tygodnie.





Helena Wiewiórska, pierwsza adwokatka polska.

HELENA WIEWIÓRSKA
pierwsza polska adwokatka.

Pani Helena Wiewiórska jest pierwszą adwokatką polską. Egzamin adwokacki złożyła przed dziesięciu laty i od tego czasu prowadzi własną kancelarję w Warszawie. Niedawno powołana została do Rady adwokackiej, gdzie również jest pierwszą kobietą.

Gdy przyszedłem o 5-tej popołudniu, pani adwokat Wiewiórskiej jeszcze nie było w domu. Przyjęła mnie jej córka, panna Ala, która właśnie przegrywała z koleżanką ostatnie przeboje na patefonie. W domu panował ożywiony ruch. Co chwila rozlegały się dzwonki u drzwi. Posłańcy i chłopcy sklepowi przynosili kwiaty, torty, paczki z wiktuałami itp. Imieniny pani domu.

— Gdzie mamusia? — pytają co chwila przez telefon.

— Mamusia nie wróciła jeszcze z sądu.

W ten sposób mija godzina. Wreszcie zmęczona, zadyszana rzuca w przedpokoju tekę z aktami.

— Błahe dwie sprawy przeciągnęły się do wieczora!

Najpierw obowiązkowa fotografja, a potem, mimo, że obiad stygnie, rozpoczynamy rozmowę.

— Mam bardzo poważne skrupuły — mówi pani Wiewiórska. Jako członkini korporacji adwokackiej nie wolno mi udzielać wywiadów.

— Najbardziej dramatyczny moment w życiu — to sprawa tak osobista, że nie może tu być mowy o zastrzeżeniach, regulujących sprawy zawodowe przez Radę adwokacką — próbuję tłumaczyć.

— To prawda, ale mój najdramatyczniejszy moment jest właśnie związany z zawodem. Jeżeli jednak decyduję się o tem mówić, to ze względu na zasadniczy charakter sprawy. Zresztą kiedy opowiem, sam pan się zorjentuje.

— Było to w 1922 roku. Bawiłam u moich przyjaciół w Zamościu. Na wokandzie sądu okręgowego znalazła się sprawa Jana S., oskarżonego o bratobójstwo. Proces miał się odbyć w trybie doraźnym. Byłam wtedy jeszcze aplikantką adwokacką, jednak wyznaczono mnie obrońcą z urzędu, sądząc widać, że jako kobiecie łatwiej mi się uda wzruszyć sędziów. Na instytucję sądów doraźnych miałam już wówczas pogląd wyraźnie wyrobiony, uważałam je z punktu widzenia prawnego za twór nieudany.

— Sprawa była ciężka. Domagałam się przekazania jej na drogę postępowania zwykłego, dowodząc, że niema podstaw do sądzenia bratobójcy w trybie doraźnym. Sąd był jednak innego zdania. Sprawę postawiono rozpatrzyć.

— Mój klient był człowiekiem bardzo nieszczęśliwym. Od najmłodszych lat cała rodzina była przeciwko niemu. Musiał wcześnie opuścić dom rodzinny i tułać się po świecie. Życie miał ciężkie, więcej w niem zaznał głodu, niepowodzeń, niż radości. Mimo to ożenił się i był ojcem kilkorga dzieci. Po śmierci ojca, gdy przyszło do podziału spadku, rodzina znów chciała go odsunąć od wszystkiego. Najbardziej występował przeciwko niemu starszy brat. Ten chciał go pozbawić schedy. Zrozpaczony, złamany niekończącym się łańcuchem klęsk, z konieczności rozdzielony z żoną i dziećmi, ważył się na czyn szalony. — Po sprzeczce ze starszym bratem schwycił ciężki topór i roztrzaskał mu głowę. Stawiono go przed sądem doraźnym. W myśl art. 255 prokurator domagał się kary śmierci, kwalifikując przestępstwo jako zabójstwo z chęci zysku. Proces trwał przez cały dzień. Wyrok ogłoszono o godzinie 9 wieczorem. Bratobójcę Jana S. skazano na śmierć.

W chwili odczytywania wyroku, mój groźny przeciwnik, pan prokurator, był blady jak płótno i wyraźnie drżał.

Skazańca odprowadzono do celi. Mieliśmy dwanaście godzin czasu dla uzyskania łaski Prezydenta Rzeczypospolitej, jedynego ratunku dla nieszczęsnego bratobójcy. Z sądu wysłano natychmiast depeszę do Warszawy. Spędziłam okropną noc, chyba najcięższą w życiu. Mijała godzina za godziną i odpowiedź z kancelarji cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej nie nadchodziła. Zupełnie wyczerpana nerwowo zapadłam nad ranem w ciężki sen. Jednak i we śnie prześladowały mnie koszmary. Śniła mi się gilotyna wieziona na jakimś okropnym, okrwawionym wozie. Kiedy się obudziłam, jeszcze bardziej zmęczona, była już godzina 8-ma rano. Wreszcie po godzinie przyszła upragniona odpowiedź z Belwederu. Prezydent Rzeczypospolitej skorzystał z prawa łaski. Karę śmierci zamieniono na bezterminowe więzienie. Natychmiast wraz z prokuratorem udałam się do celi skazańca. Był zupełnie nieprzytomny. Całą noc klęczał z głową opartą o więzienne nary, bełkocząc słowa modlitwy. Nie odrazu zrozumiał, co mu przynosimy. A gdy mu wreszcie wytłumaczono, zatoczył się i znów padł na kolana. Niepowstrzymane strugi łez zalewały mu twarz.

Tej nocy i sceny w celi skazańca nie zapomnę do końca życia. Do walki przeciwko sądom doraźnym występuje u mnie od tego okropnego procesu obok rozumu uczucie...

W. M.



Powyżej: Grupa dziewcząt chórzystek z Wielkiego Teatru rewjowego przed próbą. Dziewczęta, które oddały rewji swą młodość, swój wdzięk i swój głos.

Dziewczęta... dziewczęta...

Defiluje przed nami wielka armja dziewcząt... dziewcząt w mundurkach — i dziewcząt bez mundurków. Armja, zawsze pewna siebie i pewna swego zwycięstwa Ale armja, często, jak to bywa na wojnie, głodem przymierająca.

Dziewczęta te, aby żyć, musiały się głodem morzyć. Jeśli chciały jeść — musiały się wyrzec... jedzenia. Trzeba było dbać o linję. Przymusowa djeta, męcząca gimnastyka, sporty — a obok tego długie, wyczerpujące próby, przeciągające się w noc przedstawienia — oto życie scenicznej czy filmowej „girl", tego motyla nocy wielkomiejskiej. Zajaśnieje przez chwilę, zachwyci oko, a nikt się nawet nie zastanawia, ile trudu, pracy i wyrzeczeń złożyło się na to, by przez parę minut widzowie mogli przypatrywać się zgodnemu rytmowi ich tańca.

Manekiny... inny rodzaj „broni" w tej wielkiej dziewczęcej armji. — Przyszedł kryzys i opustoszały wielkie magazyny mód. — Obchudzone modelki potraciły posady. Dziś wolno im jeść... lecz teraz życie samo nałożyło im djetę... Napróżno pukają do drzwi wielkich magazynów. — Armja manekinów na stopie kryzysowej jest mocno okrojona.

Modystki... te, które z wojny wychodziły z ranami kłótemi — w palce. — Rój dziewcząt,

Poniżej: Grupa dziewcząt statystek w garderobie teatralnej.





Na prawo: Girlsy stanowią
jeden z najważniejszych warunków powodzenia nowoczesnej rewji, której reżyser umie dobrze operować „tłumem dziewcząt".



Te, które służą modzie — angażowanie modystek do wielkiego magazynu mód w Paryżu.

wysypujący się na rue de la Paix — wesoły i gwarny. Godzina południowa. Za dwie godziny powrót do pracy.

Trzeba być zawsze piękną i młodą. Bo inaczej przyjdzie „superrewizja" i trzeba będzie opuścić szeregi dziewczęcej armji.

Trzeba być piękną dla nich, dla siebie, ale przedewszystkiem dla n i e g o. Dla tego, który już jest, albo jutro przyjdzie.

To też trzeba konserwować młodość i urodę wszelkiemi siłami i środkami... cel uświęca środki... kosmetyczne...

Zatrzymać młodość.. Bo jeszcze tyle wymagań trzeba jej postawić...

— — — — —

Życie jest podobno piękne. Jak piękne są te dwie godziny odpoczynku, gdy słońce złoci ulicę Paryża. Święto konwalji na wiosnę, święto midinetek...

Prawda — jest miłość. Czasami przyjdzie brzydka i natrętna, w postaci starszego pana z wielką łysiną — ale i z wielkim portfelem. Czasami znowu zmienia się — i przybiera postać młodego chłopca o bardzo pięknych zamiarach i bardzo pięknej przyszłości — Ale tylko przyszłości...

Dziewczęta pracy — marzą o wielkiej miłości — i narazie zadawalniają się „małą zaliczką", jaką im daje życie.

Wielka armja girls rewjowych i filmowych, modystek, manekinów, panien sklepowych — dla których dzień rodzi się w trosce, a zachodzi w marzeniu. — Bo pierwszy blask słońca rozpędza chmury troski. Pierwszy uśmiech przechodnia dodaje otuchy. Będzie lepiej...

Wielka armjo — idąca na podbój świata — z bronią tak nieodpartą, jak uśmiech młodości, świeżości i urody. Zwyciężacie. Bierzecie do niewoli mężczyzn...

— — — — —

Ale zdradzimy wam rzecz jedną — najchętniej same dostają się do niewoli...

TAJEMNICE PRZYRODY.

DRAPIEŻNE „KWIATY”

Jeżeli znalazłeś się kiedy Czytelniku nad brzegiem morza, zapatrzony w jego dal bezbrzeżną i wsłuchany w szum fal spienionych, uderzających raz po raz o skaliste brzegi — może pod wpływem przedziwnego majestatu, bijącego od wód przepastnych uległeś nastrojowi i zadumałeś się nad życiem i jego kolejami.

I pewnie nie przyszło ci na myśl że pod szafirową, czy też szaro-zieloną tonią morskich wód, nieraz pozornie martwych i cichych, życie pulsuje odrębnem, własnem tętnem, że i tam odbywają się tajemne misterja miłości i tragedje życiowe, że i tam poczyna się cud życia i rozgrywa dramat śmierci. Walka o byt, troska o potomstwo, ucieczka przed zasadzkami i niebezpieczeństwami jest także udziałem mieszkańców podwodnych, podobnie jak i w świecie żywym na ziemi.

Gdybyś mógł kochany Czytelniku znaleźć się na rafach koralowych, tych wspaniałych ogrodach podwodnych, uderzających świetnością barw i różnorodnością kształtów, a tak niebezpiecznych i unikanych przez żeglarzy, łatwo zapoznałbyś się bodaj z częścią tajemnic bujnego życia podwodnego.

Tu i ówdzie pod przeźroczystem zwierciadłem wody ujrzeć możesz jakieś barwne, różnokolorowe plamy. Takie odbierzesz wrażenie, gdy patrzysz zdaleka. Skoro jednak podejdziesz bliżej, oczom twym wspaniały ukazuje się widok. Jesteś oczarowany. Zdaje ci się, że śpisz. Bo oto widzisz przyczepione do skały jakieś przepyszne w kolorach — zda ci się — kwiaty rozchylające swe kielichy, poruszające się w takt igrających fal. Tu różowe, tam znowu zielone, czy białe lub czerwone — co jeden to piękniejszy wykwita przed twemi oczami.

Patrzysz w niemym zachwycie. I oczom swym wierzyć nie chcesz. Przez chwilę uległeś złudzeniu; lecz powoli przekonujesz się, że te istoty, tak wspaniałe, nie mogą być kwiatami — to nie są rośliny, bo takich pod wodą nie spotkasz nigdzie. Skoro będziesz pilnie obserwował te piękne wytwory przyrody, zauważysz, że to, co brałeś za kielich kwiatu, to ramiona cieńkie i długie, prężące się we wodzie. Chciałbyś się dowiedzieć jaknajprędzej czegoś więcej o tych ciekawych mieszkańcach podwodnych. I oto los ci sprzyja. Odkrywa tajemnicę. Wśród tych „kwiatów“ widzisz pływające rybki. Wesołe te mieszkanki wód uwijają się chyżo pluskają we wodzie, igrając beztrosko, niepomne niebezpieczeństwa. Czyż mogłoby im ono zagrażać tutaj, w tym podwodnym ogrodzie?

Chwilka i rąbek tajemnicy uchylony. Oto jedna z rybek zbyt blisko przewinęła się koło „kwiatu“ (na zdjęciu u góry) i w tym momencie ramiona wyciągnęły się po nią. Rzuca się na wszystkie strony biedna ofiara, stara się wyślizgnąć, lecz nadaremnie. Ramiona coraz silniej obejmują ją i ściskają. A zpośród ramion wychyla się szeroki otwór, Ramiona zaginają się coraz bardziej i szamocącą się zdobycz wciągają w stronę otworu, tak, że wkońcu rybka ginie w jego czeluści. Ramiona zamknęły się nad nią. Rybka została połknięta.

A więc ten piękny niby „kwiat“ — to zwierzę żarłoczne i drapieżne. Przyczepione do skały, czyhało na zdobycz. Na imię mu — ukwiał, który ze względu na swe podobieństwo do kwiatu nazwa-

1


2


3


4




5

no także morską różą, zawilcem lub też goździkiem, chociaż obdarzono go także i mniej zaszczytną nazwą pokrzywy morskiej. A wiecie dlaczego? Bo na ramionach swych posiada t. zw. parzawki, z których wystrzykuje zabójczą ciecz w chwili atakowania ofiary.

* * *

To jeden tylko fragment tragedji życia rybki. A na ileż innych niebezpieczeństw narażone jest niemal ustawicznie jej życie! Setki jej towarzyszek ginie w paszczach wielorybów, lub żarłocznych delfinów, czy wreszcie fok, na inne czyhają mewy, kormorany, lub niestrudzone w swym locie długoskrzydlate albatrosy; wreszcie drapieżne ryby, nie pomijając człowieka, który na wiele z nich zastawia zdradzieckie sieci.

I próżno litowałbyś się Czytelniku nad ich losem. Nie tylko na nie, ale i na innych mieszkańców wód czyhają ciągle niebezpieczeństwa różnego rodzaju. — W głębinach mórz wre wieczna walka, z której silniejszy wychodzi zwycięsko. Bo takiem jest życie!

Dr Z. Maślankiewicz.

ZŁOTY GLOBUS JAGIELLOŃSKI

Na ulicy św. Anny, w niezrównanym w swym nastroju gotyckim gmachu „Collegium maius", kędy ongiś „Alma Mater" główną swą miała siedzibę, widzimy cudowne ostrołukowe krużganki i stojący pośrodku dziedzińca pomnik genjalnego ucznia tej wszechnicy, tego, który „wstrzymał słońce a ruszył ziemię" — w wnętrzu gmachu, w dostojnej gotyckiej sali Obiedzińskiego, zapełnionej księgami aż po wyniosłe żebrowanie sklepienia, dostrzegamy pewien niewielki przedmiot, mieniący się złocistemi refleksami wpadającej od okien w mroczne wnętrze światłości. Jest nim słynny, pamiętający czasy Kopernika globus połączony z zegarem astronomicznym, znany w nauce p. n. „złoty globus jagielloński".

Osobliwy ten przedmiot — powiedzmy odrazu iż pochodzi z r. 1509 — składa się z całego systemu pierścieni z złoconego mosiądzu, wzajem przecinających się i ujmujących pośrodku swobodnie kulę, z wygrawirowanym obrazem ziemi. Wewnątrz kuli jest zegarowy mechanizm, który po nakręceniu porusza koła i globus. Przy pomocy odpowiednich podziałek i wskazówek na tym niezwykle na swój czas precyzyjnym instrumencie, wyczytuje się wszystko nieomal, czego można od zegaru wymagać, a więc godzinę powszechną, średnią i gwiazdową, dzień i miesiąc, wysokość słońca na każdem miejscu i w każdej porze.

Nie to jednak decyduje o wartości przyrządu. Najważniejszem dla badaczy jest spoczywający w systemie kół globus i szczegóły wyryte na jego złocistej powierzchni. Na uwagę zasługują w szczególności te części powierzchni, które wyobrażają niedawno natenczas przez Kolumba odkrytą Amerykę. Widzimy na tym globusie po raz pierwszy wyryte kontury Ameryki Południowej. Na powierzchni jej czytamy napis: „MUNDUS NOVUS — TERRA SANCTAE CRUSIS" czyli „Nowy Świat — Ziemia św. Krzyża", a w zachodniej jej części „TERRA DE BRAZIL" (Brazylja). Patrząc dalej na zachód widać usiany wyspami ocean, i — o dziwo! — na największej z nich czytamy wyraźny napis: „AMERICA NOVITER REPERTA" („Ameryka nowo odkryta"). Coprawda topograficznie nie jest ta denominacja zbyt ścisłą; napis ten znajduje się na miejscu, na którem widnieć powinna Australja.

W każdymbądź razie, podkreślić to należy z naciskiem, iż na globusie tym występuje po raz pierwszy na świecie nazwa Ameryki, zupełnie wówczas nowa, nadana na pamiątkę podróżnika i badacza Ameriga Vespucci. Zczasem ta nazwa wyparła inne i stała się określeniem całej nowej części świata.

Teraz dopiero zrozumieć można pełną ważność tego wyjątkowego zabytku. Wedle badań prof. U. J. dra Tadeusza Estreichera jest to wogóle najstarszy znany globus pokolumbowy, starszy o pięć lat od najbliższego mu wiekiem globusu Schönera z r. 1515. Jest zarazem najstarszym z podających jakąkolwiek część Nowego Świata, i to wbrew mniemaniom Kolumba oddzielnie, nie w połączeniu z Azją. Jest on wreszcie najstarszym globusem, podającym imiennie nazwę Ameryki.

Łatwo pojąć, iż ostatniemi czasy, dzięki wzmożonemu ruchowi obcych w Krakowie, globus ten obudził wśród nich zasłużone zainteresowanie. Stąd też przed dwoma laty ambasada brazylijska w Londynie kazała zrobić zeń precyzyjne zdjęcia fotograficzne, niedawno zaś uniwersytet w Baltimore polecił sporządzić wierną, lecz parokrotnie większą kopję globusu. Nadmienić jeszcze wypada, iż do niedawna uważano misterny mechanizm wnętrza za zepsuty. Tymczasem pokazało się przy niedawnem badaniu, iż mechanizm ma tylko drobne uszkodzenia i zanieczyszczenia. Po usunięciu tychże i nakręceniu mechanizmu kluczykiem koła i globus puszczone zostały w ruch, jak przed czterystu zgórą laty...

Dr. Jerzy Dobrzycki.



Złoty globus Jagielloński z mechanizmem zegaru astronomicznego z r. 1509.
Fot. „As".



Sam globus, wyjęty z oprawy zegaru astronomicznego (strzałka wskazuje wyrytą nazwę „America").
Fot. „As".

Czy tylko maszyna do mieszkania?

W rozwiązaniu zagadnienia nowoczesnego mieszkania decydujący wpływ mają względy ekonomiczne, higjeny i amerykańskiej popularności taniego komfortu. Wielkomiejscy architekci, walcząc z przeludnieniem miasta tworzą maszynę do mieszkania, w której przemyślano wszystkie funkcje higjeny, światła, wody, ognia i powietrza. Technika współczesna wysila się w kierunku ułatwienia wszystkich fizycznych czynności mieszkańcom wielkich miast, dla nich tworzy komórki mieszkalne w ulu wielkomiejskim. W gorączce postępu popełniono jednak błąd, zapominając o psychice mieszkańca, który przychodzi do domu, aby nietylko jeść i spać, lecz czyta wybrane książki, chodzi do teatru na umiłowane sztuki i zwiedza wystawy dzieł ulubionych artystów. Pożądamy dziś prócz praktyczności radość i życia a przedewszystkiem chcielibyśmy mieć ją we własnem mieszkaniu.

Jeden z najgenjalniejszych reformatorów architektury, inż. architekt Le Corbusier po zaprojektowaniu setek mieszkalnych domów doszedł do przekonania, iż jednak posunięto się za daleko w standaryzowaniu architektury wnętrz, że sztuka powinna dać poczucie człowieczeństwa i nie pozbawiać jednostki prawa wyboru. Dziwną próbą byłoby usiłowanie stworzenia systemu budowy domów, któryby zaprzeczał istnieniu serca, którego równowaga nie byłaby oparta na duchowych potrzebach jednostki.



Salon japoński.



Hall domu „Westphalen", łączy się zapomocą opuszczanej ściany z tarasem ogrodowym. Proj. Prof. L. Welzenbacher, arch.



Sypialnia proj. arch. W. Padlewski, Warszawa.

Nowoczesna architektura zrodziła się w Holandji, Niemczech i Francji z dwu problemów: ekonomicznego i rzeczowego.

Niemcy w swej zapobiegliwości o minimum egzystencji szarego człowieka dążyli do przystosowania wszystkich wynalazków mieszkaniowej techniki dla szarego człowieka. Francuzi natomiast poświęcili swą twórczość nie szerokim warstwom ludności, lecz wybrańcom losu, właścicielom will podmiejskich i luksusowych mieszkań. W wieku obecnym dokonali architekci wnętrz gruntownej rewizji bezstylowości urządzeń mieszkalnych XIX wieku. Przystąpiono do uzdrowienia mieszkania, do stworzenia nowego organizmu domu, w którymby rzeczowość i praktyczność harmonijnie łączyła się z pięknem.

Pojęcie „modern" nie oznacza w estetyce wnętrza mieszkalnego czegoś, chwilowo modnego, lecz to, co dąży do zdrowej konstrukcji, harmonijnych proporcji i stylowej jedności. Konieczność dyktuje ekonomję przestrzeni. To też w oczach naszych znikają salony, w których nikt nie mieszkał, a które bywały dotąd magazynem dziwolągów estetycznych i pseudostylowej tandety. Konieczność ekonomiczna zmusiła współczesnych do ścieśniania mieszkań. Pomysłowość architektów wnętrz rozszerza w razie potrzeby ściany domu, przestawiając niby kulisy w teatrze, ruchome ścianki, i rozchylając kotary. Pokój sypialny i gabinet pana i pani domu wspólny, gdyż oboje pracują i palą przeistacza się w dniach przyjęć w bankietową salkę. Gdy goście rozejdą się, znowu zmienia się w zaciszne komnaty. Do budowy sprzętów używa się nowych solidnych materjałów, jak szkło barwne, lustro, metal, linoleum, i t. p. Konstrukcja odpowiada logicznie ich funkcjom. Czasami zwracano się w reformatorskich zapędach nowoczesnych do starych kultur. A więc z Chin przyjęliśmy używane tam od 2 tysięcy lat barwne laki pokrywające stoły, i różnorodne sprzęty dzisiejsze.

Japońska zaś kultura mieszkaniowa stała się klasycznym prawzorem dla tych subtelnych artystów wnętrza, którzy poza jasnością, lekkością przestrzennego ukształtowania, szukają jeszcze miłego harmonijnego nastroju.

A więc nie wyrób standaryzowany maszyny mieszkaniowej, lecz estetycznie i logicznie rozwiązane przestrzenne ugrupowania, posiadające indywidualny akcent psychiki i charakteru gospodarza są celem sztuki wnętrza. **m. d. d.**

KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 2) **Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego**

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI.

— O, bardzo dobrze się czuję! — rzekł nieco drwiącym tonem.

— Ale jak mógł sobie pozwolić na tak wielką stratę? — pytała się nieco natarczywie, podczas gdy Chesham mięszał łyżeczką herbatę w filiżance.

— Któż może sobie dzisiaj pozwolić na stratę dziesięciu tysięcy? — odpowiedział wymijająco.

— Jedynie warjaci lub miljonerzy — odrzekła. — Czy był on miljonerem?

— Nie, proszę pani, te dziesięć tysięcy funtów szterlingów stanowiły cały jego majątek. — Chesham zamyślił się.

— I tak wszystko zaryzykował?

— Dlaczegóżby nie? Lepiej spróbować szczęścia i zrobić z nich sto tysięcy, jak prowadzić skromną egzystencję w pokojach umeblowanych i żyć z dochodu tych dziesięciu tysięcy. Ale może pani jest wyznawczynią zasady unormowanego i spokojnego życia? To stało się w ostatnich czasach dewizą narodową nieomal.

Chesham zaczął gryźć duży kawałek „toastu", jak gdyby chciał dalsze słowa, które miał wypowiedzieć, zdusić w ten sposób. Zresztą nie miał ochoty mówić, a wiedział, że oczy pięknej dziewczyny szukają go.

— Wie pan, chętniebym poznała tego człowieka, którego pan widział w Monte Carlo — rzekła spokojnie.

— Wątpię, aby go pani poznała — odparł nieco podejrzliwie, nalewając sobie herbaty do filiżanki.

— Dlaczego pan tak twierdzi?

— Nie przypuszczam, aby... pokazywał się w dobrem towarzystwie po tym wypadku.

Zaśmiała się. Był to przemiły śmiech, który jednak wstrząsnął nim.

— Czy pan grał może kiedy w grę, zwaną „Pinero"? — zapytała znów dziewczyna o kasztanowatych włosach.

— Nie przypominam sobie, abym grał w „Pinero". Lecz dlaczego się pani pyta?

— Pańska uwaga robiła wrażenie, jak gdyby to było zdanie z tej właśnie gry. Była to taka piękna, staroświecka gra z czasów króla Edwarda. Ale ma pan może papierosa?

— Oczywiście, proszę pani.

Mówiąc te słowa Chesham przypomniał sobie równocześnie, że właśnie papierosów nie miał. Papierośnica jego została w pewnym składzie jubilerskim w Beausoleil w okolicy Monte Carlo. Zaczął się lekko tłumaczyć.

Wyjęła złotą papierośnicę i podała mu ją. Wziął papierosa, a gdy zapalał zapałkę i podawał ją swej towarzyszce, ręka mu zadrżała. Różowe jej wargi, trzymające papierosa, robiły na nim ogromne wrażenie.

— A gdzie on teraz przebywa? — znów zapytała.

— Kto?

— Ten pan, który przegrał te dziesięć tysięcy funtów w Monte Carlo.

Wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że wraca znowu do Anglji. Zarząd kasyna w razie, jak ktoś zgra się do nitki daje takiemu nieszczęśliwcowi trochę pieniędzy i bilet pierwszej klasy do jego ojczyzny.

— Oczywiście — wypuściła dym ustami. — A może nawet jedzie naszym pociągiem.

— Bardzo możliwe.

Chesham spojrzał się na nią nieco podejrzliwie.

— Ale pan-by go poznał oczywiście?

— No, naturalnie.

Naraz zjawił się kelner i wręczając Cheshamowi papierek rzekł:

— Pański rachunek, sir.

Chesham nie spojrzał się wcale na podaną mu kartkę. Ruchem niedbałym wyjął banknot dziesięcioszylingowy i rzucił na tacę trzymaną przez kelnera.

— Nie potrzeba reszty.

Kelner skłonił się służbiście i rzekł:

— Bardzo dziękuję, sir. Za piętnaście minut będziemy na stacji Victoria.

Chesham sięgnął do swej kieszeni. Była już zupełnie pusta. A gdy zwrócił się w stronę swego vis-a-vis przekonał się, że młodej kobiety już nie było.

ROZDZIAŁ III.

Chesham wchodzi w krąg tajemnic.

Zabłysły światła Londynu. Dały się słyszeć typowe dla wielkiego miasta głosy i hałasy podmiejskich pociągów, elektrycznej kolejki, aut i wozów. Dały się widzieć czerwone, zielone i żółte światła, pochodzące z tysięcznych reklam świetlnych, napisów, lamp i domów. Coraz więcej świateł. „Złota Strzała" mknęła w tem morzu świetlistem z całym rozpędem. Wkrótce miało się dać słyszeć dudnienie pociągu wjeżdżającego pod ogromne sklepienie dworca. Lekkie szarpnięcie i pociąg stanął.

— Victoria! — dały się słyszeć głosy konduktorów, a równocześnie nawoływania pasażerów, dających rozkazy bagażowym, zamawiających dorożki i cisnących się ku wyjściu.

Chesham rzucił okiem naokoło, szukając młodej kobiety w brązowej sukni. Zdawało mu się, że widział ją wychodzącą z wagonu, ale może się mylił. Zresztą tak było może nawet lepiej. Byłoby bezwzględnie ambarasującem znaleźć się znów w jej towarzystwie ze swemi dwoma kuferkami, resztkami swego majątku i namyślać się, co dalej należy robić. Przybywszy bowiem do Londynu nie miał najmniejszego pojęcia, co ze sobą pocznie.

Gdy zbliżał się wraz z innymi pasażerami do wyjścia z wagonu i widział wynoszone kufry, walizki i nesesery, obliczał ich wartość w myśli i zastanawiał się nad tem ileby można dostać za nie w pierwszym lepszym lombardzie. Artur Chesham nie posiadał nawet przysłowiowego grosza. Ostatnie jego dziesięć szylingów wydał na herbatę z keksami.

— Dzień dobry, kochanie. Cieszę się, że widzę cię. Możesz mnie zabrać na kolację, a potem pojedziemy na przyjęcie do ambasady — dał się słyszeć głos kobiety, ubranej w piękne futro, który witała się ze starszym panem, wracającym z kuracji w Spa.

Chesham zamyślił się na chwilę. — Miesiąc temu i on chodził na przyjęcia do ambasady, a obecnie był parjasem wielkiego miasta. Czekały go nędzne obiady i mieszkanie kątem w jakiejś podejrzanej dzielnicy. Ze złością ujął swoje dwie walizki.

Namyślając się, w którym kierunku iść i zwolna posuwając się ku wyjściu, Chesham natknął się na mężczyznę w liberji, który zbliżając się zdjął czapkę i rzekł:

— Niech pan pozwoli, sir — Wyciągnął rękę w kierunku kuferków, trzymanych przez młodego Anglika.

— Nie, dziękuję — odparł Chesham, przypominając sobie, że przecie i tak nie mógłby dać służącemu najmniejszego napiwka.

— A jednak ja pana poproszę o oddanie tych walizek — kontynuował

szofer z uprzejmem uśmiechem. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu Chesham widział, jak szofer wziął z jego rąk obie walizki i zwrócił się w kierunku wykwitnej, wysoce eleganckiej limuzyny, która czekała przed dworcem. — Był to samochód, jakie się widuje jedynie w wielkich miastach, samochód, który musiał kosztować kilka tysięcy funtów.

Chesham starał się protestować przeciwko niezrozumiałej uprzejmości szofera. — Ale mylicie się mój przyjacielu — rzekł.

Spostrzegł, że szofer przypatrywał się z pewnem zainteresowaniem jego walizkom, które posiadały nalepki w jakie zaopatrują hotele zagraniczne bagaż swoich klientów. Na walizkach Cheshama znajdowała się kolekcja tych nalepek, a między innemi figurowała jedna czarno-biała, na której widniał dziwny znak, przedstawiający dwie kości i czaszkę. Chesham pomyślał sobie, widząc tę nalepkę, że wziął z wagonu cudze walizki, lecz spojrzawszy jeszcze raz, przekonał się, że były to jego własne.



Służący podszedł do auta i otworzył drzwiczki...

— Nie zachodzi tu żadna omyłka, proszę pana. Oczekują pana, sir — rzekł szofer.

— Ja zupełnie nic nie rozumiem — zaczął tłumaczyć Chesham.

Szofer podszedł do auta i otworzył drzwiczki. — Niech pan będzie łaskaw wsiąść.

Auto było wybite szarą skórą, a szereg niklowych przyborów dodawały temu wnętrzu dużo uroku. Gdy się siadało w niem zdawało się, że się tonie w puchu. Chesham przypomniał sobie, widząc wnętrze automobilu swój szary wjazd do Anglji, którego jakgdyby symbolem były szare chmury i szare morze. Nie namyślał się dłużej i wsiadł, drzwiczki zatrzasnęły się, a szofer usiadł przy kierownicy. Motor zawarczał i auto pomknęło z dworca Victoria w morze świateł Londynu.

— Oczywiście, że cała historja jest głupią omyłką, myślał Chesham. Pomylono mnie zapewne z jakimś młodzieniaszkiem, na którego czeka jakaś starsza pani, a cała historja skończy się tem, że nie zdążę już do żadnego lombardu. W każdym razie, siedząc za temi szybami jestem bezpieczny przed biedą i przykrościami na kilka chwil.

Ze śmiechem nieco złośliwym oparł się o poduszki, czekając dokąd zaprowadzi go ta dziwna awantura.

Nie potrzebował długo czekać. Z ogromną pewnością w kierowaniu szofer prowadził auto poprzez liczne zapełnione autami ulice, jadąc w stronę Picadilly. Auto mknęło ulicą, która ze wszystkich stron posiadała ogromne rzucające snopy światła latarnie, tonąc niejako w tem lśniącem morzu. — Dodawało to pewności siebie Cheshamowi, który zaczął się pod tem wrażeniem czuć lepiej, jak poprzednio. — W drodze doleciał do dźwięk zegara, bijącego na jakiejś wieży. Było kwadrans na ósmą.

— Jestem ciekaw, gdzie będę się znajdował za pół godziny. — Nie dokończył jeszcze tej myśli, gdy auto stanęło wzdłuż trotuaru.

Poprzez tłum ludzi, który płynął trotuarem zobaczył otwarte drzwi jakiegoś eleganckiego domu, które pozwalały mu spojrzeć do wnętrza rzęsiście oświetlonego.

Służący, w krótkich spodniach, podszedł do auta i otworzył drzwiczki.

— Dobry wieczór, Sir — rzekł, skłaniając się głęboko.

Chesham stanął na trotuarze i zauważył, że kilka osób zazdrośnie patrzało się na wspaniałe auto i na wytwornego kamerdynera, który prowadził Artura do pałacyku. Za nimi postępował szofer, niosący obie walizki. Niedaleko wejścia siedział jakiś niewidomy, wyciągając patetycznie rękę z kapeluszem. Instynktownie Chesham sięgnął do kieszeni, by dać mu jałmużnę. Przypomniał sobie jednak zaraz, że nie ma ani grosza.

— Tędy, Sir.

Służący w liberji czekał w drzwiach. Wchodząc do domu, Chesham podniósł głowę, by mu się przyjrzeć i zauważył numer domu. Dom miał liczbę 70 a.

ROZDZIAŁ IV.

Piraci z Piccadilly.

Drzwi się zamknęły za Cheshamem, a służba zdjęła z niego płaszcz i odebrała kapelusz. Kamerdyner poprowadził go przez klatkę schodową, wyłożoną grubym dywanem.

— Mam nadzieję, że panu będą się podobać jego pokoje, Sir — rzekł służący, gdy szli długim korytarzem. Gdyby pan coś potrzebował, proszę zadzwonić do mnie nadół.

— Dobrze, zadzwonię. Jak wam jest na imię?

— Juljan, proszę pana.

— A nazwisko tego...

Chesham wskazał ręką na otoczenie, w którem się znajdował, chcąc dowiedzieć się przynajmniej trochę o nowem miejscu pobytu.

— Piraci, proszę pana.

— Ach, tak, Piraci — rzekł Chesham tonem nieco niepewnym.

Był to zapewne jakiś klub, a chociaż Chesham nie słyszał nigdy o nim, to nie przeszkadzało, że mógł taki istnieć.

Dzisiaj przecie kluby powstają przez noc i trwają dosyć krótko. Chesham był już zbytnio zamieszany w tę całą przygodę, aby dłużej się pytać. Ale Juljan zatrzymał się przed drzwiami, które otworzył przed gościem.

— Oto są pańskie apartamenty, Sir. Mam panu przypomnieć, że obiad jest o ósmej. O tej zresztą godzinie zbiorą się goście. Pan zajmie swoje miejsce przy końcu stołu na 10 minut po ósmej. Mam nadzieję, że nie ma pan co do tego żadnych wątpliwości.

— Zupełnie jasne, Juljanie. Rozumiem.

Chesham starał się nie okazywać żadnego zdziwienia. Gdy drzwi się za nim zamknęły i Juljan za niemi zniknął, młody człowiek zobaczył swoją twarz w lustrze na drugim końcu pokoju.

Był to wspaniale urządzony pokój, który odznaczał się przedewszystkiem umiarkowaniem i prostotą w stylu mebli, które jednak musiały być bardzo kosztowne. Widział naokoło lustra, meble o metalowych, lśniących obiciach i charakterystyczne linje dla nowoczesnego urządzenia. Posadzkę przykrywał puszysty dywan o wzorze bardzo oryginalnym. Ściany oświetlone były dyskretnie schowanemi lampami. Na jednym ze stolików znajdowała się lampa w postaci szklanej kolumny. Chesham, nacisnąwszy guzik, zapalił ją.

— Pokój urządzony zupełnie jak dla jakieś gwiazdy filmowej — rzekł do siebie. — Ale dlaczego ja tu mam mieszkać?

Podczas inspekcji, którą przedsięwziął po swoim pokoju, odkrył metalową czarną skrzynkę, znajdującą się niedaleko elektrycznego kontaktu. Znajdował się też tam guzik, który go zaintrygował. Nacisnąwszy go, natychmiast pokój napełnił się głosami dochodzącemi z jakiejś rosyjskiej orkiestry bałabajek. Grała ona jakąś smutną melodję, która razporaz przechodziła w gwałtowny rytm wesołości, aby potem znów przejść do smutniejszych akordów. Niewiadomo dlaczego Artur Chesham musiał ciągle myśleć o dziewczynie w brązowej sukni, z którą mówił godzinę temu w ekspressie „Złota Strzała". Przypominał sobie żywo czerwone złoto jej włosów, mocne i otwarte spojrzenie jej oczu i śliczny wykrój młodych ust. Miejsce numer 13! Przygoda, która trwała 50 minut. A teraz?

— Dzień dobry, panie Chesham, czy mogę wejść?

Spojrzał przypadkiem w lustro, które wisiało obok niego i zobaczył młoda kobietę w brązowej sukni. Stała u wejścia do pokoju, a oczy jej, szare, przyglądały mu się z zaciekawieniem, podczas gdy usta uśmiechały się nieco. Zamknęła drzwi za sobą i postąpiła kilka kroków w jego stronę.

Była to kobieta z ekspressu „Złota Strzała".

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PANI I·JEJ·DOM





ZAMIAST OBRUSA, DROBNE SERWETKI.

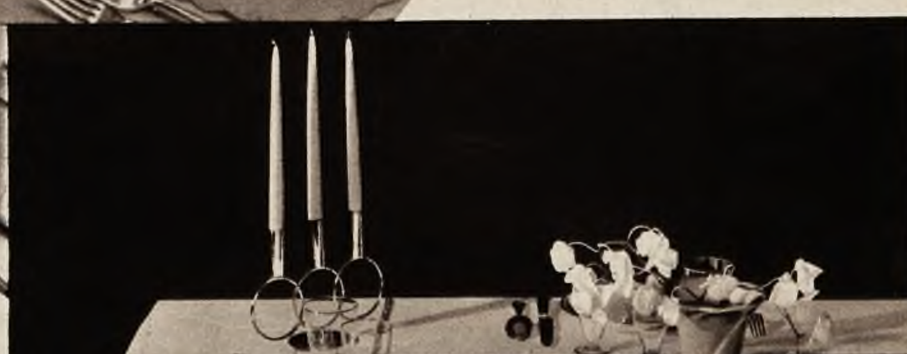
Dawne obrusy na sześć, dwanaście i dwadzieścia cztery osoby należą już prawie do przeszłości, przynajmniej narazie, dopóki nowy zwrot w dziedzinie estetyki stołu, nie przywróci im dawnych walorów. Obecnie całe zainteresowanie skupiło się na stole, jako takim, który wykonany z pięknych gatunków drzewa, przedstawia przy nakryciu go małemi serwetkami i zastawieniu szkłem i porcelaną, nowe i ciekawe możliwości estetyczne. Lustrzana tafla stołu łowi odbicia wszystkich przedmiotów a ciemne jego tło kontrastuje ciekawie z akcesorjami zastawy.

Na zdjęciu fragment stołu z okrągłemi, haftowanemi serwetkami pod talerze i kieliszki.

STÓŁ DO CODZIENNEGO POSIŁKU.

Jest wielką zaletą pani domu, jeżeli codzienne życie rodzinne potrafi ująć w tak estetyczne formy, aby „dom" był prawdziwą oazą piękna, spokoju i miłego wytchnienia po pracy.

Jednym z tych akcesorjów najpowszechniejszego użytku, który też odpowiadać musi zasadom estetyki, jest stół jadalny. Ambicją naszą powinien być jego wygląd nietylko w czasie oficjalniejszych przyjęć, ale podczas najskromniejszych nawet posiłków samych domowników. Nieskalanie czyste nakrycie, błyszcząca świeżością porcelana, szkło i srebro, czy choćby tylko platery, a przytem coś dla wytchnienia oczu — a więc barwny kwiat albo też miły jakiś drobiazg z nowoczesnej jakże licznej porcelany — i zaraz cały stół nabiera swoistego wdzięku.





ZROBIĘ TO SAMA...



Milutki pullover, którego fotografję reprodukujemy obok, może każda z pań wykonać własnoręcznie i to w dość krótkim stosunkowo czasie, bo jest zrobiony ściegiem tunetańskim wolnym, który szybko postępuje w pracy. (Wykonujemy go w ten sposób, że na łańcuszku w odpowiedniej długości robimy oczka duże pozostawiając je na szydełku. To jest rząd pierwszy. Nast. polega na tem, że przerabiamy poszczególne oczka, zbierając je po jednemu, robiąc wraz z niemi jak gdyby łańcuszek górny. Trzeci rząd znów polega na wykonaniu pełnej ilości oczek w rzędzie przez przerabianie szydełkiem pomiędzy oczka (nie w same oczka) jak rząd pierwszy.



Pullower z cieniutkiej wełny, wykonany na drutach i szydełkiem.

Pullover ten jest dołem wykończony 10-centimetrowym pasem, wykonanym na drutach (jedno oczko wprost, drugie na wywrót). Przeciętną wielkość przyjmujemy na 110 oczek plecy, 120 przód. Od tego rozpoczynamy robotę. — Gdy już pas gotowy, przechodzimy do szydełka i stosownie do wymiarów podanego obok kroju, wykonujemy każdą część osobno, aby potem złączyć razem niewidocznym ściegiem igłą.

Przy wykonywaniu przodów pewną trudność stanowić mogą zęby, na które pullover jest zapinany, oraz wycięcie pachy i szyi. Ponadto i rękawy 3/4 długości wymagają wykonania wedle wzoru. Kto jednak przyswoi sobie dobrze sam sposób ściegu tunetańskiego, temu kwestja rozszerzania czy zwężania przez dodawanie czy odejmowanie oczek nie będzie stanowiła trudności. Do wykończenia rękawów robimy osobno pas na manszet. Wokół przodów i wycięcia szyi robimy dwa rzędy zwyczajnym ściegiem szydełkowym dla umocnienia.

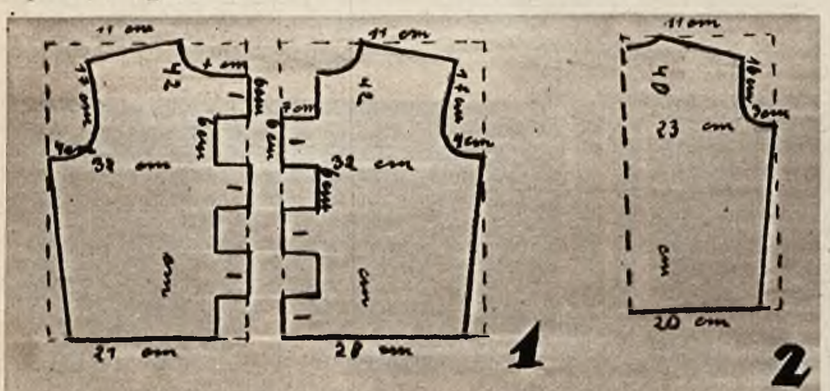
Teraz pozostają do zrobienia dziurki na przeciwległych zębach przodu i na manszetach. Można je zrobić odrazu w trakcie szydełkowania, ale to wymaga dość dużego wyrobienia w wykonywaniu sweterków. Wówczas możemy odpowiednio do wielkości przygotowanych guzików zrobić otwory na dziurki większe. Jeżeli natomiast poprzestaniemy na małych guziczkach, wówczas wystarczy tylko wymodelować otwór przy pomocy szydełka i odziergać go wełną zapomocą igły.

Do wykonania tego pulloveru najlepiej użyć cieniutkiej wełny kolorowej z białemi włoskami.

Wzór, który reprodukujemy na zdjęciu, jest wykonany z bardzo ciemnej wełny w zielonym flaszkowym odcieniu, który przyprószony jakgdyby białemi cieniutkiemi niteczkami, bardzo elegancko się przedstawia.

Wobec powszechnej mody kostjumów wełniane bluzeczki szydełkowane czy haczkowane mają duże zastosowanie w nadchodzącym sezonie wiosennym. Zwłaszcza w naszym klimacie, gdzie wiosna jest zazwyczaj chłodna, mając ciepły a lekki sweterek, można wcześnie stosunkowo pozwolić sobie na zmianę płaszcza na wiosenny kostjum. Sweterek powinien być ciemniejszy od materjału kostjumu, a może nawet kontrastować z nim w zasadniczym odcieniu.

Panie, lubiące robótki ręczne, mają wdzięczne pole do popisu.



Zmniejszony krój pulloweru: 1) przód, 2) plecy, 3) rękaw, 4) manszet.

CO MÓWIĄ DYKTATORZY MODY.

Zanim jeszcze w naturze ukazywać się zaczną pierwsze oznaki wiosny, myśli już Paryż o wiosennym stroju pięknej kobiety. Oglądaliśmy to wszystko na intymnych rewjach modeli, gdzie zapraszane są tylko najwytworniejsze klientki, prasa i przedstawiciele wybranych a nielicznych magazynów.

Już samo tło wytwornych atelier zasługiwałoby na osobny opis. Czy to lustrzane ściany u Chanel, czy empirowy salon Schiaparelli, pełen egzotycznych storczyków... Ale najważniejsze to to, co pokazano w zakresie mody wiosennej.

Ogólną popularnością cieszą się kostjumy i trzyćwierciowe płaszcze. Sukienki znów nieco krótsze. Mnóstwo niesłychanie urozmaiconych bluzek, z dekoltami pleców na lato. Materjały letnie w barwach i deseniach wybitnie pastelowe.

Kostjumy lansuje przedewszystkiem Chanel. — Wykonane z jasnych tweedów, uzupełnione uroczemi bluzeczkami, są nadzwyczaj efektowne i młodociane. Szczególny poklask uzyskał kostjum z bladoniebieskiego wafelkowatego tweedu, o bluzeczce białej w czerwone grochy. Bardzo elegancko wyglądały letnie sukienki z płaszczykami o podszewce z materjału sukni. Deseniowe materjały w gwiazdki i kropki. Rękawiczki z materjału sukni o manszetach z barwnej skóry Duże kapelusze o podniesionem z jednej strony rondzie.

Schiaparelli lansuje mnóstwo odcieni granatowych i błękitnych aż do zupełnie jasnego koloru „Vishnu“. Niebieskie łączy z brązowemi odcieniami, co stanowi bardzo efektowne zestawienie barw. Jego kostjumy uzupełniają trzyćwierciowe płaszczyki z tej samej materji lub dłuższe cape na chłodniejsze dni. Bardzo podobał się taki cape granatowy z woskowanego płótna do jasno niebieskiej sukienki. Modele letnie o deseniach roślinnych są u niego szczególnie delikatne w rysunku. Białe koronki, szale z najnowszych materjałów szklanych, skórzane oryginalnie plecione paski, ozdoby metalowe — to wszystko dodatki niezmiernie charakterystyczne. Kapelusze Schiaparelli mają ku przodowi wysunięte ronda o niezwykłych linjach, a za przybranie służą przedewszystkiem kwiaty.

Modele firmy Molyneux ukazały przedewszystkiem bogactwo tualety wieczorowych o bajecznych kwiatach z jedwabiu i aksamitu. Ogólny podziw budziły szkarłatne poinsettie przy białej crepe satin, jak niemniej wielobarwne tulipany do tualety w kolorze drzewa różanego. Do sukien i kostjumów używa Molyneux ze szczególnem upodobaniem koloru granatowego z białem, jako niezwykle młodocianego zestawienia barw, o co dbałość zaznacza się szczególnie w jego wiosennych kreacjach.

Patou lansuje nowy kolor w odcieniu złotym „Ambra“, który służy zarówno do sukien wieczorowych, jak i do przybrania sukienek wełnianych w kolorach brązowym czarnym, nawet niebieskim. Kostjumy Patou wszystkie bez wyjątku uzupełnione są przez cape sięgający do linji bioder. Bluzki białe, koronkowe, haftowane, szydełkowane, z wybitnem użyciem wszelkiego rodzaju recznych robót Dużo wagi poświęca Patou sukni t. zw. „5—8 g.“ Jest ona długa i z długiemi rękawami, bez dekoltu, a tylko z długiem rozcięciem bluzy z tyłu. Suknie wieczorowe ozdobione pailletami, skłaniają się do mody z lat 80-tych zeszłego stulecia, a więc bufiaste rękawy, rysze, wolanty, spięcia szerokiej spodnicy w tyle itd.

Trudno byłoby wyliczać wszystkie firmy i modele. Na imię im legjon. A z tego dopiero kształtują się ogólne zasady mniej więcej jednolite, które pójdą w świat, jako skrystalizowana już moda wiosenna 1935.

Florence.

✦ ✦ ✦

1. Suknia popołudniowa „5—8 g.“ o kroju skośnym, co tworzy ładne rozcięcie dołem. Rękawy z kloszową falbanką. Mały dekolt.

2. Sukienka o sportowym charakterze, wykonana z lekkiej wełny, nadającej się na stembnowane zakładeczki.

3. Sukienka biurowa, której kołnierz i manszety mogą być wykonane z odmiennej materji lub z białej koronki lub piki.

4. Długa bluzeczka z wełny w skośne prążki, przepasana skórzanym paskiem o klamrze, której kolor powtarzają guziki głównego zapięcia i kieszonek.



1



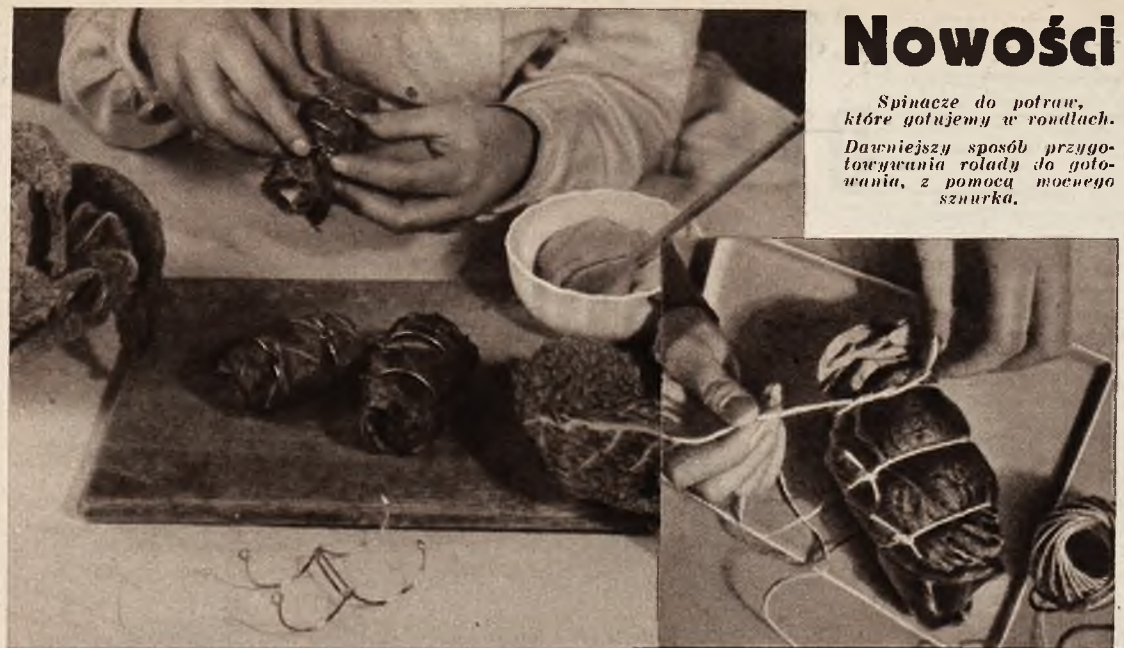
4



3



2



Nowości kuchenne.

Spinacze do potraw, które gotujemy w rondlach.

Dawniejszy sposób przygotowywania rolady do gotowania, z pomocą mocnego sznurka.

Postęp techniki w zakresie t. zw. statków kuchennych jest duży i niewyczerpany w pomysłach Oto jeden z przykładów: tak jeszcze niedawno sprawiało gotowanie rolad duży kłopot gospodyni, gdyż przed gotowaniem trzeba je było sznurować a po gotowaniu odwiązywać i odrzucać sznurki czy nitki.

Dziś praca przy roladach została całkowicie uproszczona przez zastosowanie metalowych spinaczy różnej wielkości, któremi silnie spinamy przygotowane do gotowania mięso. Tak zapięcie, jakoteż i odpięcie ich nie zabiera wiele czasu, a znacznie higjeniczniejsze są one w użyciu od niesterylizowanego sznurka czy nitki.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3 — 4 osoby.

Rulada cielęca. Ładny kawał dyszka cielęcego (1 kg) rozbić na cienki płat, posolić i obłożyć plastrami szynki; przez środek położyć kilka twardych jaj, zwinąć mocno, owiązać nitką lub umocnić spinaczami (v. obrazek) i gęsto naszpikować młodą słoniną. Na podłużną brytwankę dać łyżkę masła i sporo jarzyn drobno krajanych. Naprzód mięso osmażyć na maśle, potem dodać jarzynki i dusić, skąpo podlewając rosołem. Gotową ruladę wyjąć na półmisek, a jarzynki przetrzeć, rozprowadzić śmietanką, zagotować i wlać do sosjerki. Z mięsa zdjąć nitkę lub spinacze, pokrajać plastry i ułożyć tak, aby kolory mięsa, szynki i jaj ładnie się na półmisku uwydatniły.

Tort Sacher. 4 żółtka i 8 dkg cukru ucierać przez kwadrans, dodając po troszce 8 dkg masła i 8 odkg rozmiękczonej w cieple czekolady. W końcu dodaje się na przemian po łyżce, pianę z 4 białek i 8 dkg sypkiej mąki. Masę wylewa się na dość dużą tortownicę, tak, aby masa tworzyła warstwę nie grubszą ponad 2 cm. Upiec w miernym piecu, stopniując ciepło. Po upieczeniu nakłada się na tort dość grubą warstwę konfitur mięszanych lub dobrej marmolady i pokrywa polewą czekoladową, nagotowaną z 6 dkg czekolady, 2 łyżek wody i tyleż cukru i łyżeczki masła deserowego.

Zupa grysikowa. Dwie łyżki stołowe grubszego grysiku praży się na ogniu, dodawszy łyżkę masła, pilnie mięszając, bo się łatwo przypala. Osobno rozpuszcza się 2 kostki buljonu Maggi w litrze wody gotowanej i rosołem tym zalewa, mieszając, uprażony grysik. W wazie rozciera się 1 żółtko i łyżeczkę siekanej zielonej pietruszki, poczem zalewa się to gotującą zupą.

Budyń z bułek. 4 małe czerstwe bułki namoczyć w mleku, tak, aby tylko nasiąkły i dały się rozetrzeć. 2 żółtka, 7 dkg cukru utrzeć do białości, dodać 5 gorzkich migdałów miałko utłuczonych, wymięszać z roztartą bułką, dodać trochę rodzynków, pianę z pozostałych białek i 4 łyżki tartej przesianej bułeczki. Formę budyniową wysmarować dokładnie masłem, wysypać tartą bułką, włożyć przygotowaną masę i gotować na parze przez godzinę. Podaje się z sokiem lub szodonem.

Szczupak w maśle sardelowem. Szczupaka oczyszczonego i odleżałego przez parę godzin w soli, osusza się serwetką, smaruje masłem, utartem z paru sardelkami i piecze w rurze, pilnie polewając wypływającym sosem. Pod koniec pieczenia zalewa się rybę filiżanką gęstej śmietany, roztrzepanej z łyżeczką mąki, zagotowuje i wydaje obłożoną makaronem. Sos osobno w sosjerce.

Krem z brusznic. Na godzinę przed obiadem, nakłada się na kompotjerę lub miseczki kompotowe, potrzebną ilość dobrze słodkiego kompotu brusznicowego i zalewa zimnem dobrem mlekiem do przykrycia, mięsza, rozcierając lekko brusznice i pozostawia w chłodzie do obiadu. Brusznic liczy się łyżkę na osobę. Po godzinie utworzy się gęsty krem. Jako dodatek drobne kruche ciastka.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 11 — MARZEC — Dni 31
Niedziela **10** 40 M., Cyprjana 5 Weadar	Zupa perłowa na śmietanie. Móżdżek zapiekany w muszelkach. Rulada cielęca. Tort Sacher. Kolacja: Wędlina i jaja na twardo z sałatą jarzynową.
Poniedziałek **11** Konstantego 6 Weadar	Zupa jarzynowa przecierana z grzankami. Płatki z szynką. Fałszywy zając z buraczkami. Kompot z suszonych śliwek i jabłek. Kolacja: Parówki z chrzanem, smażone ziemniaczki.
Wtorek **12** Grzegorza W. p. 7 Weadar	Zupa grysikowa na kościach lub Maggi. Móżdżki cielęce z knedelkami. Pieczeń wołowa z czerwoną kapustą. Budyń z bułki. Kolacja: Jajecznica z szynką, sery.
Środa **13** Rozyny † S. dn. 8 Weadar	Rosół z makaronem. Mięso z rosołu z sosem chrzanowym. Naleśniki ze serem i śmietaną. Kolacja: Ziemniaki pieczone z marynowanym śledziem.
Czwartek **14** Matyldy 9 Weadar	Zupa grzybowa z płatkami. Kotlety wieprzowe z kapustą. Omlet biszkoptowy z kremem kawowym. Kolacja: Makaron z serem, sałatka śledziowa.
Piątek **15** Longina † S. dn. 10 Weadar	Czysty barszcz z uszkami. Grzybki w omletach. Szczupak w maśle sardelowym. Krem z brusznic. Kolacja: Kasza hreczana ze śmietaną. Sery.
Sobota **16** Zbigniewa † S. dn. Weadar	Krupnik na rosole. Paprykarz z ryżem. Sznycle wiedeńskie z marchewką. Kompot z jabłek i moreli suszonych. Kolacja: Jajka w szklance, chleb, ser.

Życie towarzyskie i artystyczne



Książe Monaco w Nieświeżu.

Podobnie jak poprzednio panujący książę Monaco, Albert był wielkim miłośnikiem rybołóstwa i w tej dziedzinie doszedł do swoistej sławy, — jego syn, obecnie panujący książę Ludwik II., jest zapalonym myśliwym. (×) Przybył on też niedawno temu do Polski, zwabiony sławą polskich polowań i zatrzymawszy się poprzednio w Warszawie, udał się następnie do Nieświeża i Radziwiłłmontów, rezydencji księcia Albrechta Radziwiłła (××).

Łowy nieświeskie udały się nad wyraz dobrze, przyczem książę Ludwik zabił dwa dziki.

Postanowił on przybyć powtórnie do Polski, celem zapolowania na cietrzewie. Książę Monaco przebywał u nas w ścisłem incognito, to też nie składał nikomu oficjalnych wizyt.

Ślub dyplomaty i gwiazdy filmowej



W tych dniach odbył się w Warszawie ślub sekretarza poselstwa chińskiego p. Chow-Hsien-Tang z panną Mary Rodziewiczówną, krewną znanej powieściopisarki.

Młodzi małżonkowie postanowili poświęcić się pracy nad zbliżeniem kulturalnem polsko-chińskiem. Dr Chow-Hsien-Tang już trochę rozumie po polsku i potrafi wymówić parę słów w naszym języku; młoda jego żona zaledwie zdążyła opanować trudną sztukę podpisywania po chińsku swego nowego nazwiska.

* * *

Z końcem ub. m. odbył się w kościele PP. Kanoniczek w Warszawie ślub naszej „gwiazdy" filmowej, Jadwigi Smosarskiej z p. inż. Zygmuntem Protassewiczem, Wilnianinem, zamieszkałym w Warszawie. Obecni byli jedynie świadkowie ze strony obojga nowożeńców. Kościół cały usłany białem kwieciem, zamknięto na czas uroczystości dla szerszej publiczności, która w innym wypadku zapełniłaby szczelnie nawy świątyni.



Jadwiga Smosarska.

Jubileusz patrycjusza poznańskiego.



Znany kupiec poznański p. Kazimierz Greger obchodził ostatnio 25-letni jubileusz swej pracy zawodowej. Poza wielką fachowością w swym zawodzie p. Greger odznaczył się długoletnią pracą obywatelską. Jubilat należy do znanej patrycjuszowskiej rodziny poznańskiej.

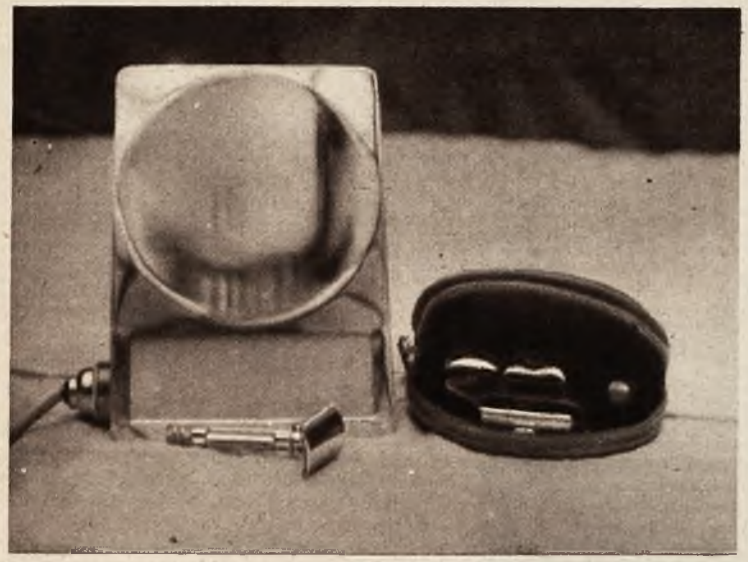
Hr. Zamoyscy zwyciężają w konkursie walca.



Na jednym z najwytworniejszych bali bieżącego karnawału, który się odbył w „Adrji" w Warszawie, pod wezwaniem „Wesołej wdówki", zorganizowano konkurs walca. Stanęły w szranki tym razem łoskonałe pary, należące wyłącznie do najlepszego towarzystwa. Jury złożone z wytrawnych znawców tańca, miało niemały kłopot z decyzją, zwłaszcza, że nagroda była tylko jedna. Wreszcie po dłuższem trwaniu konkursu zdecydowano, że najwyższy poziom taneczny wykazała para rodzeństwa: Jadwiga i Jan hr Zamoyscy, która zdobyła nagrodę w postaci srebrnej, ozdobnej puderniczki (partnerka) i takiejże papierośnicy (partner).

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

DROBIAZGI...



Wśród drobiazgów dobrze „urządzonego" gentlemana nie powinno zabraknąć składanego lusterka do golenia, zaopatrzonego w specjalną żarówkę, ukrytą w blaszanym abażurze, która po zapaleniu rzuca światło wprost na taflę lustrzaną. Najnowsze etui na aparaty do golenia są wyrabiane ze skóry zamszowej, a zamykane są na t. zw. błyskawiczny zatrzask.

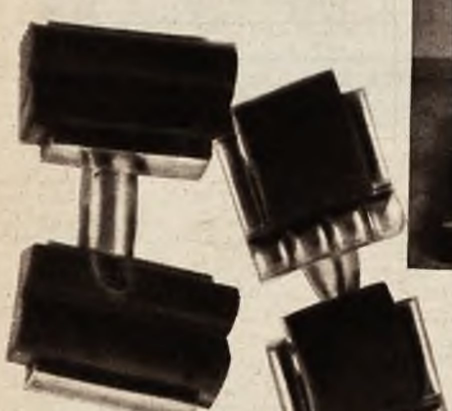
Fot. Presse-Photo — Berlin.

★

Na prawo: Polecenia godnem jest stojące wieszadło pokojowe, wykonane z drzewa, na którem wiesza się ubranie po całodziennem noszeniu, a na podstawie stawia buciki na prawidłach. Tak przygotowany komplet wynosi służba do czyszczenia i wstawia go rano spowrotem do pokoju pana.

Fot. „As".





Na lewo: Dwa rodzaje spinek ze szlachetnego drzewa w oprawie srebrnej, stanowiące pod tym względem ostatni krzyk mody męskiej.

Fot. „As".

Marynarka, czy smocking?



Wszyscy narzekamy na kryzys i idąc w ślad za tym pesymistycznym nastrojem dostrajamy nasze potrzeby życiowe do mocno „przystrzyżonego" budżetu miesięcznych wydatków. Ograniczamy się więc przedewszystkiem w przyjemnościach — w szukaniu rozrywek, które pociągają za sobą wymogi ubraniowe. A gdy już nie możemy odmówić sobie przyjemności wybrania się wieczorem do teatru, na dancing lub do jakiejś eleganckiej restauracji (bo chyba tylko o takiej może być tu mowa), natenczas staramy się wmówić sobie, że wystarczy ubrać się w zwykłą ciemną marynarkę i możliwie jasną koszulę, a wymogom kodeksu dobrze ubranego mężczyzny stanie się w zupełności zadość. Pod tym względem mylimy się jednak zasadniczo. Jeszcze nietak dawno temu żaden szanujący się gentleman nie ośmieliłby się pojawić wieczorem w publicznym lokalu w innym stroju, jak tylko we fraku, lub najmniej smokingu, przyczem smocking używany był przeważnie na zebraniach w męskich klubach. Potem i on uzyskał powoli „prawo obywatelstwa" na szerszej arenie życia nocnego i wyrugował w znacznej mierze najbardziej twarzowy strój gentlemana — frak. W ostatnich paru latach nastąpił pod tym względem zasadniczy przewrót. Mężczyźni zbuntowali się przeciw „surowym" przepisom kodeksu ich mody i poczęli je otwarcie ignorować. W ten sposób doszło do wszechwładztwa ubrania marynarkowego, które stało się uniwersalną formą stroju męskiego. Nie ulega wątpliwości, że dużą winę ponoszą tu kobiety, które zamiast bronić się przed tą „demoralizacją" płci brzydkiej, wolały uzyskane stąd, fikcyjne zresztą oszczędności przelać na konto swych toaletowych potrzeb. Ostatnio zaczyna u nas objawiać się inicjatywa, zmierzająca do powrotnego wprowadzenia dawnego władztwa fraka i smockinga. Niektóre restauracje, nastawione zresztą na elegancką klijentelę, wprowadziły specjalne zniżki w cenach potraw i napoi dla tych gości, którzy pojawią się w lokalu przynajmniej w smocking ubrani. Nawet teatry, a wśród nich przedewszystkiem scena „Michel" z inicjatywy jej dyrektora Roberta Trebora, wprowadziły zwyczaj wręczania wyfraczonym panom nagrody za strój wieczorowy w postaci wartościowych upominków.





Czy jednak to wiele pomoże i zachęci „zbuntowanych" do zmiany zasadniczych pojęć?

Karol Martel (Paryż).



BĄDŹMY ★ ZAWSZE ★ MŁODZI!

Zmechanizowana kosmetyka.

„Ach, gdybym tam mógł i moją starą włożyć“ — wzdychał niejeden mężczyzna, gdy w połowie XIX wieku podziwiał sztych Moritza von Schwind Dzieło to nosi tytuł „Mechaniczne Odmłodzenie“. Fantazja



„Mechaniczne odmłodzenie“ sztych Schwinda (1804—1871).
Fot. Fuerst — Wiedeń.



Aparat, który wykazuje wady w budowie twarzy.

artysty stworzyła maszynę, do której wrzucało się stare, brzydkie baby, wychodziły zaś po dokonanym w jej wnętrzu procesie mechanicznym urodziwe i pełne wdzięku niewiasty. Nie trzeba nawet dodawać, że na każdą tych świeżo upieczonych piękności czekali już przy jej wyjściu z maszyny wielbiciele, którzy przyklęknąwszy, całowali rączkę i ofiarowywali nadobnej swe serce.

Gdyby von Schwind wstał dziś z grobu, byłby zdumiony, w jakiej mierze jego fantazje ziściły się. Z biegiem lat robiono coraz to lepsze szminki i pudry, które potrafiły twarzy nadać jaknajkorzystniejszy wygląd, a zwłaszcza umożliwiły ukrycie szkód, przez czas wyrządzonych. Prócz używania szminek, co czyniły już podobno elegantki w starożytności, posługuje się nowoczesna kosmetyka już od wielu lat drobnemi zabiegami, zwłaszcza, jeżeli chodzi o usunięcie zmarszczek i fałdów skóry, które niezwykle szpecą i postarzają kobiety. Jako zupełną nowość możemy jednak zanotować coraz to częstsze uciekanie się kosmetyki do pomocy maszyn.

Dotychczas operacje kosmetyczne robiono, opierając się tylko na powierzchownych dość niedokładnych pomiarach. Przeprowadzający operację dopiero próbował i obserwował na swej pacjentce, czy np. daną kość nosową już dosyć lub nie zadużo naprostował. Przedłużało to i niepotrzebnie czyniło przykrzejszą operację kosmetyczną, która ma to wielkie minus, iż z reguły niemożna jej robić pod narkozą, a tylko po miejscowem znieczuleniu.

Nowy, dość skomplikowany, bo zawierający aż 325 różnych śrubek, wynaleziony w Hollywood aparat pozwala przy pomocy umiejętnej manipulacji śrubkami ustalić dokładne pomiary twarzy i z matematyczną precyzją zanotuje każde uchylenie od idealnych proporcyj, dzięki czemu ewentualnie potrzebna operacja kosmetyczna może już naprzód być szczegółowo obliczona.

Niewątpliwie wielkie zastosowanie znajdzie również w kosmetyce świeżo przez słynną na tem polu Elisabeth Arden wymyślony aparat, spektroskop. Polega on na specjalnej konstrukcji wklęsłych luster, oraz odpowiedniem oświetleniu, a pokazuje patrzącemu przezeń nietylko najdrobniejsze usterki urody, lecz także „grożące niebezpieczeństwo“, miejsca w których mają się dopiero utworzyć zmarszczki lub inne oszpecenia, chwilowo jeszcze niewidzialne gołem okiem kreseczki. Następną całkiem rewelacyjną nowość przynosi nam Hollywood. Tutaj odebrały panie monopol — autom. W ten sam bowiem sposób, w jaki lakieruje się auta, a to zapomocą maszynki, której konstrukcja ma coś wspólnego z pistoletem i która przez strzał równocześnie rozprasza farbę, artystki w stolicy filmu nadają skórze jednolity odcień opalenizny lub też matowej białości.

W ostatnich dniach jedna ze słynnych diw wywołała wśród swych wielbicieli przerażenie, wyjąwszy z torebki mały rewolwer, którego lufę skierowała ku swej twarzy i pociągnęła za cyngiel. Naprzód prawy a po drugim „strzale“ i lewy policzek artystki powlekły się jednolitą różową barwą. *Carmen.*



Aparat wynaleziony do rozpryskiwania lakieru Duco na karoserjach automobilowych, zaanektowały Amerykanki dla potrzeb kosmetycznych i zapomocą niego pokrywają swe ciało subtelną warstwą szminki.



SZTUKA KĄPANIA SIĘ.

Mitsuko, maleńka Japoneczka bawi w Paryżu i jest oczarowana „stolicą Europy". Lecz gdy wprowadzono ją do wspaniałej marmurowej łazienki hotelowej i oczekiwano nowych okrzyków podziwu, rzekła: „Czy to możliwe, żebyście pod tym względem byli tacy prymitywni? Ja za nic brudna nie weszłabym do tej wanny".

Japończycy rzeczywiście mają sposób kąpania się o wiele od naszego racjonalniejszy. W łazienkach ich obok wanny stoi zawsze jeszcze druga mniejsza wanienka, w której przed wejściem do kąpieli mydlą oni i opłukują swe ciało. Dopiero po dokładnem zmyciu całego ciała wchodzą do właściwej kąpieli.

Europa zaczyna już w ten sposób kąpania przyjmować, a to



Nowoczesna łazienka w europejskim domu czynszowym.

przez wprowadzenie tuszów, pod którymi przed wejściem do wanny można namydlić się i opłukać. Przeważnie dziś naszym paniom obcy jest kunszt, w którym mistrzyniami były starożytne Rzymianki z Augustą Poppeą na czele, a to używania kąpieli jako środka leczniczego i kosmetycznego.

Recepty higjeniczno-kosmetyczne Rzymianek po części zaginęły ze śmiercią niewolników, których zadaniem było pielęgnowanie ciała ich pań. Do dziś dnia zachowała się jednak pamięć kąpieli z mleka oślic, jakich używała Augusta Poppea, aby mieć skórę gładką i białą.

Współczesna kosmetyka operuje wieloma receptami na kąpiele o charakterze higjeniczno-leczniczym. Podajemy ich kilka, nadmieniając, że wszystkie potrzebne do nich składniki otrzymać można w aptekach, czy droguerjach.

Kąpiel uspakajająca nerwy.

Ze szpilek jodłowych, uzbieranych w lecie, można przygtować sobie zapas na kąpiele, które działają bardzo uspokajająco. Po dokładnem przemyciu igliwia i wysuszeniu, przechowuje się ono doskonale w suchem przewiewnem miejscu.

Chcąc przygotować kąpiel, gotujemy w wodzie większą ilość suszonych szpilek, a przecedzając płyn przez muszlin, wlewamy go do wanny, wypełnionej wysoko wodą, tak by całe ciało zanurzone było podczas kąpieli. Taka kąpiel jodłowa działa wzmacniająco, odświeżająco i uspokaja nerwy.

Gotowy ekstrakt ze szpilek jodłowych można otrzymać w każdej aptece lub droguerji.

Kąpiel wydelikacająca skórę.

Chcąc zniszczoną skórę doprowadzić do naturalnej miękkości, tak by była gładka i biała, o jakiej mówić zwykliśmy, że jest jedwabista w dotknięciu, dobrze jest brać kąpiele ze zwyczajnych otrąb lub krochmalu. Zawiązujemy w zgrzebnym woreczku 5—10 litrów otrąb i zanurzamy go w kąpieli, wyciskając niezbyt silnie.

Kąpiel z krochmalu przyrządza się w ten sposób, że do gotowej kąpieli dajemy rozczyn z 1 kg. krochmalu, rozczynionego najpierw w zimnej wodzie, przez dodawanie wody coraz cieplejszej aż do zupełnie gorącej.

W czasie upałów letnich kąpiele takie odziaływują bardzo dodatnio, odświeżają bowiem ciało na czas dłuższy niż zwyczajna kąpiel. Także i dla dzieci kąpiel ta jest z tych względów polecenia godna.

Kąpiel wygładzająca zmarszczki.

Osoby, przeprowadzające kurację odtłuszczającą, łatwo mogą się narazić na zwiotczenie skóry i powstające z tego powodu zmarszczki i fałdy skóry. Można temu z dobrym skutkiem przeciwdziałać, stosując następującą kąpiel. Przygotowuje się rozczyn z 200 gr mąki ziemniaczanej, 500 gr krochmalu zwykłego, 100 pudru, 25 gr kaseiny, 50 gr węglanu sodu i 10 gr esencji lawendowej. Po tej kąpieli dobrze jest wziąć chłodny tusz, zwłaszcza na biust. Specjalna kąpiel wzmacniająca dla biustu może być przygotowana z następujących składników: 40 gr chloratu sodu, 300 gr wody bławatkowej, 100 gr gliceryny, 200 gr dobrej wody toaletowej (np. kolońskiej).

Carmen.



Nawet w wieśniaczych domkach japońskich kąpiel jest przygotowywaną nadzwyczaj starannie.


CHARLIE
MIŚ i ZDZIŚ
przygody dwóch młodzieńców
1. MIŚ ZDOBYWCA KOBIET
1 ZDZIŚ: Co oznacza ten węzełek na chusteczce?
MIŚ: -Acha-prawda-byłbym zapomniał; mam dziś przed południem zdobyć kobietę...
2 ZDZIŚ: Za dwadzieścia minut jest już południe - spiesz się-a możebyś tę?-
MIŚ: Dobrze pomów z nią i powiedz, że ją ubóstwiam!
3 ZDZIŚ: No dobrze-a jaką otrzymam nagrodę?
MIŚ: W nagrodę dam ci bilety na mecz...
4 ZDZIŚ: Wobec tego biegnę za nią...
MIŚ: Powiedz jej, że ją kocham od pierwszego wejrzenia...
5 ZDZIŚ: Przepraszam panią, mój kolega Miś, znany sportowiec przysyła mnie z prośbą o adres pani krawca...
ONA: Czy tak bardzo podoba się temu panu mój płaszcz?
6 ZDZIŚ: Nie! Tylko chce zrobić na złość swojej żonie i polecić jej tego partacza...
ONA: Chciałabym bardzo pomówić z pańskim kolegą!...
7 ZDZIŚ: Misiu wszystko na jaknajlepszej drodze - Ona pała żądzą poznania ciebie.
MIŚ: Lecę na skrzydłach miłości...
8 MIŚ: Więc mój przyjaciel powiedział pani?..
ONA: Tak i oto moja odpowiedź!!..
9 ZDZIŚ: No i co?
MIŚ: Nie chcę jej znać! - Ona przed ślubem robi to, co każda uczciwa kobieta robi dopiero po ślubie!...

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

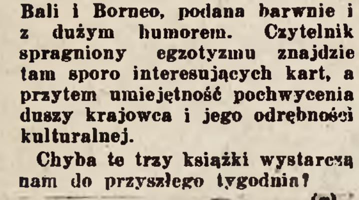
Człowiekowi, który trapi się, że po czwartym krzyżyku na grzbiecie życie nie przedstawia już tak ich uroków — należy polecić książkę prof. B. Pitkina **„Życie zaczyna się po czterdziestce"**. Ten uczony amerykański wlewa otuchę w serca panów w pewnym wieku zapewniając ich, że właśnie po 40-ce zaczyna się najprzyjemniejszy okres naszego życia. Na poparcie swej tezy cytuje prof. Pitkin cały szereg przekonywujących przykładów. Jakże zresztą niewiele trzeba, ażeby przekonać człowieka, że nie powinien rezygnować z życia i że otwiera się przed nim nowa młodość! Toteż książeczka prof. Pitkina zyskała sobie olbrzymie powodzenie w Ameryce. U nas wydana przez Trzaskę, Evert, Michalskiego w doskonałym przekładzie Pauliny Lamowej napewno też znajdzie zwolenników.

Wytworny pisarz Aldous Huxley zajmuje nas swojemi opowiadaniami o podróży naokoło świata, zawartemi w tomie **„Drwiący Piłat"** (Tow. Wyd. „Rój", przekład Marji Godlewskiej i Stanisławy Kuszelewskiej). Jest to zbiór opowiadań dla smakoszów, pełen subtelnych spostrzeżeń i obserwacyj. Znajdzie tam każdy sporo pouczającego materjału o dzisiejszych Indjach oraz Stanach Zjednoczonych. Piękna polszczyzna przekładu przyczynia się znacznie do sukcesu przemiłej i pouczającej książki.

Również odpoczynek umysłowy przynosi nam egzotyczna opowieść Ryszarda Katza p. t. **„Pogodne dni wśród brunatnych ludzi"**. (Wydawnictwo J. Przeworskiego, przekład Zofji Petersowej). Jest to opowieść o życiu na wyspie Jawie, Bali i Borneo, podana barwnie i z dużym humorem. Czytelnik spragniony egzotyzmu znajdzie tam sporo interesujących kart, a przytem umiejętność pochwycenia duszy krajowca i jego odrębności kulturalnej.

Chyba te trzy książki wystarczą nam do przyszłego tygodnia?

(z)



Swego rodzaju sensacją jest fox „Aloma" (De Witt Bevers) w wykonaniu orkiestry Roy Fox. — Wprawdzie zespół ten nie posiada głosów hawajczyków, ale ma doskonałego dyrygenta w osobie Fox'a, a pozatem potrafi się posługiwać hawajskiemi gitarami. Decca F 5211.

Mills Brothers — to ludzie, którzy posiadają czystość głosu godną instrumentu, a umiejętność imitowania tych instrumentów wprost zastanawiającą. Zespół ten śpiewa dwa nowe utwory: „Jungle Fewer" (Donaldson) i „Sleepy Head". Brunswick A 9620. Ci sami Mills akompanjują Bing Crosby — śpiewakowi radja amerykańskiego do piosenki „Dinah" (Lewis-Joung-Akst). Można powiedzieć, że ten utwór stał się dzięki swym wielkim walorom artystycznym — nieśmiertelnym. — Brunswick A 9206.

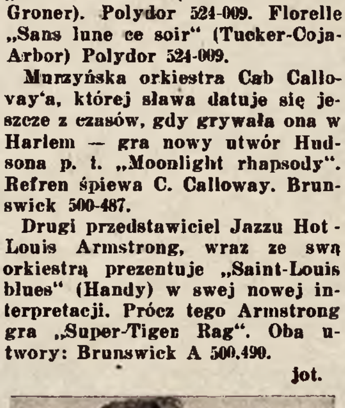


Trzy piosenkarki — Angielka Greta Keller i Francuski Lys Gauty i Florelle prezentują nam swoje nowe piosenki. G. Keller „I Never Had A Chance" (Berlin). Decca F 5193. Lys Gauty — „Libre de moi" (Reisfeld-Marbet-Groner). Polydor 524-009. Florelle „Sans lune ce soir" (Tucker-Coja-Arbor) Polydor 524-009.

Murzyńska orkiestra Cab Callovay'a, której sława datuje się jeszcze z czasów, gdy grywała ona w Harlem — gra nowy utwór Hudsona p. t. „Moonlight rhapsody". Refren śpiewa C. Calloway. Brunswick 500-487.

Drugi przedstawiciel Jazzu Hot - Louis Armstrong, wraz ze swą orkiestrą prezentuje „Saint-Louis blues" (Handy) w swej nowej interpretacji. Prócz tego Armstrong gra „Super-Tiger Rag". Oba utwory: Brunswick A 500.490.

jot.



Charakterystycznym i pięknym objawem jest powrót t. zw. wielkiego repertuaru na sceny polskie. Z wielką pieczołowitością wystawiają klasyczne sztuki zarówno teatry stołeczne jak i, często niesłusznie tem mianem obdarzane, teatry prowincjonalne.

Obecnie dużem powodzeniem cieszą się **we Wilnie** „Śluby panieńskie" Fredry (Teatr Wielki). — Fredrę grają również bardzo często w bieżącym sezonie oba teatry łódzkie.

Teatr Miejski w Łodzi gra w tej chwili Molierowskiego „Mieszczuch-szlachcicem", a **Teatr Polski w Poznaniu** „Lekarza mimowoli", bardzo ciekawie inscenizowanego w stylu molierowskim z dobrym Zygmuntem Noskowskim.

Teatr Wielki we Lwowie wystawił z dużym nakładem pracy i starannością „Przeprowadzkę" K. H. Rostworowskiego, dobrze wyreżyserowaną przez Bron. Dąbrowskiego.

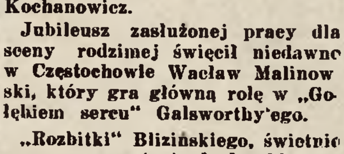
W Katowicach Teatr Polski, po „Korjolanie" Szekspira, sięgnął znowu do poważnego repertuaru, wystawiając moralitet H. V. Hofmannsthala w przeróbce Iwaszkiewicza: „Każdy człowiek czyli komedja o życiu i śmierci człowieka smutna i wesoła. Rzecz dzieje się zawsze i wszędzie". Jest to znany innym scenom polskim „Kto-bądź". Rolę tytułową gra Kochanowicz.

Jubileusz zasłużonej pracy dla sceny rodzimej święcił niedawno w Częstochowie Wacław Malinowski, który gra główną rolę w „Gołębiem sercu" Galsworthy'ego.

„Rozbitki" Blizińskiego, świetnie grane przez **teatr bydgoski**, nie schodzą tam z afisza. Obecnie gra teatr bydgoski misterjum „Golgota".

Ciekawem przedstawieniem będzie przeróbka powieści Kruczkowskiego „Kordjan i cham" (dokonana przez samego autora), jaką przygotował **Teatr Kameralny w Warszawie**.

(sub.)



Programy transmitowane przez wszystkie stacje polskie.

Niedziela 10. marca 1935.

13.00—13.15: Teatr Wyobraźni nadaje fragment słuchowiskowy z komedji Moliera „Mizantrop" w opr. T. Boya-Żeleńskiego.

13.15—14.00: Transmisja II-giej części poranku muzycznego z Filharmonji warszawskiej. Orkiestra Filharm. pod dyr. B. Wolfstala. Solista B. Szigeti (skrz.).

17.00—17.40: Koncert orkiestry wiejskiej A. Stromberga i W. Kaczyńskiego.

17.40—17.50: „Bajki" A. Mickiewicza recytuje M. Maszyński.

21.00—21.30: „Loża Szyderców".

Poniedziałek 11. marca.

15.45—16.30: Chór i rozbawione fortepiany (K. Gimpel i St. Szpilman).

20.00—20.45: Muzyka lekka w wyk. ork. T. Seredyńskiego i T. Jasłowski (śpiew).

21.00—22.00: Koncert muz. francuskiej. S. Argasińska (śpiew), B. Prokopowiczówna (harfa), E. Wojnkowski (flet), M. Szaleski (altówka), R. Halber (wiolończ.).

Wtorek 12. marca.

15.45—16.30: Koncert orkiestry kameralnej pod dyr. dr. A. Hermana (muzyka baletowa).

17.15—17.50: Koncert kameralny. Utwory kompozytorów holenderskich. J. Radwanówna (sopran), L. Kmitowa (skrz.), A. Junowicz (flet), M. Szaleski (altówka), R. Ginzburg (wiolonczela), J. Lefeld (fortep.).

18.00—18.15: Ludowe melodje fińskie wykona A. Simila na instrumencie narodowym „Kantele".

20.00—20.45: Mazurki, polonezy, krakowiaki. M. Jonasówna (fortep.), H. Karfówna (sopr.), St. Jamry (skrz.), L. Urstein (akomp.)

21.00—22.00: „Zamek na Czorsztynie", opera w dwóch aktach K. Kurpińskiego (1785—1857). Reżyserja L. Schillera. Orkiestra P. R. pod dyr. M. Mierzejewskiego.

Środa 13. marca.

15.45—16.15: „Hallo, tu ludożercy", wesoła audycja muzyczna

18.15—18.30: Wesoły sketch: „Mili ludzie" wg. R. Ferdinanda.

21.00—21.30: Koncert Chopinowski w wyk. Z. Dygata.

21.40—22.00: Trio fortepianowe a-moll Stefana Malinowskiego w wykonaniu E. Umińskiej (skrz.), Z. Adamskiej (wiolończ.) i J. Lefelda (fortep.).

Czwartek 14. marca.

16.00—16.30: Muzyka popularna w wyk. zespołu instrumentalnego „Studio".

17.00—17.15: „Od zieleni roślin do czerwieni krwi" — reportaż dr. B. Skarżyńskiego.

21.00—22.00: Koncert muzyki węgierskiej. Orkiestra symf. P. R. pod dyr. G. Fitelberga i J. Familier-Hepnerowa (fortep.).

Piątek 15. marca.

17.15—17.40: Recital fortepianowy Velty Vait. Utwory E. Griega.

18.10—18.30: Teatr Wyobraźni nadaje fragment z tragedji F. Schillera „Dziewica Orleańska" w opr. St. Miłaszewskiego.

20.05—22.30: Transmisja z Filharmonji warszawskiej. — Fragment koncertu eliminacyjnego Konkursu skrzypcowego im. H. Wieniawskiego.

Sobota 16. marca.

12.05—12.50: Koncert w wykonaniu kwintetu salonowego A. Flato.

15.45—16.15: Z klarnetem i harmonją po różnych krajach. — H. Ogórek (klarnet) i M. Hoherman (harmonja).

18.00—18.30: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko dla dzieci: „Jak Petronelka małą kuchareczką została" wg. E. Zarembiny.

20.00—20.45: Transmisja z Filharmonji warszawskiej. Ostatni eliminacyjny koncert i rozdanie nagród zwycięzcom międzynar. konkursu skrzypcowego im. H. Wieniawskiego.

22.30—23.00: „Loża Szyderców".